

# Dekada Literacka

Kraków

23 II — 1 III 1991 r.

Tygodnik

Nr 13

## Komunizm zniknął, problemy pozostały

Z Jerzym Turowiczem rozmawia Adam Michajłow

▲ Komunizm został obalony, cenzura połączona, Kościół umocnił swoją pozycję. Mamy więc do czynienia z zupełnie odmienną niż dotychczas sytuacją. Jak „Tygodnik Powszechny” zamierza się do niej dostosować?

— W pewnym sensie zasadnicza funkcja „Tygodnika Powszechnego” nie zmieniła się. W społeczeństwie, w którym ogromną większość stanowią katolicy, zawsze jest miejsce na pismo, które by zarówno wyrażało, jak i formowało opinię społeczną katolickiej. W czasach komunizmu wypełniała taką rolę było możliwe o tyle, o ile pozwalała na to cenzura. Jakkolwiek obecnie zniknął komunizm, który był wrogiem numer jeden, to jednak problemy pozostały. Nawet Kościół cieszący się w nowych warunkach pełną wolnością, dostrzega nowe problemy moralne i etyczne oraz pytania związa-

ne z uczestnictwem katolików w życiu społecznym. Myślę, że „Tygodnik” próbuje szukać odpowiedzi na własną odpowiedzialność, ale starając się służyć Kościołowi i narodowi.

Oczywiście zniknięcie cenzury sprawiło, że możemy zabierać głos i zabieramy w sprawach, o których przedtem musieliśmy milczeć. Problemów jest tak dużo, że ja nie widzę konieczności przeformowania „Tygodnika”.

▲ Jak Pan — symbol niezależnego dziennikarstwa w tej części świata — odnosi się do oporów, jakie napotyka ukształtowanie się tzw. czwartej siły. Czy nie niepokoi Pana uzależnienie publikatorów od sił politycznych?

— Ja mogę mówić tylko o własnym podwórku. Myślę, że „Tygodnik” zawsze był pismem niezależnym, nie był poddany żadnym nakazom politycznym. Nawet wtedy, gdy istniało Po-

sejskie Koło „Znak”, z którym byliśmy bardzo blisko związani — należeli do niego członkowie naszej redakcji — nawet wtedy „Tygodnik” nie był organem „Znaku”. Podobnie nie był nigdy organem Klubu Inteligencji Katolickiej, z którym też byliśmy związani. W pewnych okresach, szczególnie w okresie stalinizmu, w ogóle nie zabieraliśmy głosu w sprawach politycznych, ponieważ nasze opinie nie przeszłyby przez cenzurę. Dzisiaj nie ma tych przeszkód. Dzięki temu, w poczuciu odpowiedzialności obywatelskiej, mogliśmy się zaangażować w ostatnią kampanię prezydencką. Przyłączyliśmy się do tego, co nazywa się „obozem Mazowieckiego”, nasi ludzie są w ROAD i w Unii Demokratycznej, ale „Tygodnik”, niezależnie od tych sympatii politycznych, nie staje się organem żadnego z tych u-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

ANNA WOJNARSKA — poetka i malarka (z wykształcenia — architekt). Autorka dwóch arku-  
szy poetyckich, uczestniczka kilku antologii, m. in.  
zbioru „Piszemy nasz Kraków”. Czekają na druk to-  
mu liryków w wydawnictwie „Śląsk”.

Anna Wojnarska

## Rozmowy z matką — ucieczki

— cztery doby w bydłęcym wagonie  
i uciekanie przed śmiercią na tyfus  
i cała książka klepsydr  
a wuj Antoni to aż z Syberii  
jakby z tamtego świata życzenia  
przysłał na święta  
i przyszły po roku  
— opowiada mi długo i z detalami  
całe życie  
od stepów przez  
Polskę  
do tego wieczoru  
jak przestrozę

ręce nerwowo spleta  
na przemian  
groźbą i modlitwą

Wspomnienie pewnej zabawki

## „KAROL X” nie odpowiada

Elżbieta Zechenter-Spławińska

ALA TA HISTORIA ZACZĘŁA SIĘ PRZED DWUDZIESTU LATY, WIOSNĄ 1971 ROKU. Moje dziecko miało osiem lat i czekało z niecierpliwością na zapowiedziany w liście prezent. Ojciec zdradził, że — oprócz sandałków dla mamy i jakichś laszków dla siebie — znalazł w paczce superzabawkę. Niestety. Stany Zjednoczone były bardzo daleko, a przesyłka płynęła najtańszą, morską drogą. Mijały miesiące, Grzesz zaczynał się niecierpliwie, zbliżał się dzień wyjazdu na wakacje. Żał mi było synka. Bałam się, że rozczaruje go rzeczywistość, podejrzewałam, że nawet najwspanialsza zabawka nie sprosta wymaganiom wyobraźni. Zwłaszcza tej ośmioletniej. Jak się okazało, myliłam się bardzo. Zabawka miała nam dostarczyć wielu wrażeń. I to na lata.

Zostaję właścicielką radiostacji...

NALEŻĘ DO OSÓB CIERPIĄCYCH NA CHOROBY PODROŻY. Najchętniej siedziałabym w domu. Samo pakowanie sprawia, że tracę zdolność myślenia. Gdy wychodziliśmy z domu, okazało się, że coś jest w skrzynce. Kluczyk został w mieszkaniu. Miałam nadzieję, że dziecko nie zauważy białej koperty mającej w przegródce numer trzydzieści. Zauważył. Taksówkarz upychał torby podróżne do bagażnika,

a ja biegłam na górę po kluczyk od skrzynki.

Kopertę rozerwaliśmy natychmiast. Było to pismo urzędowe. Urząd pocztowy z Gdyni, mieszczący się przy ulicy Polskiej, zawiadomił, iż jest w posiadaniu przesyłki numer łamany przez numer z dnia takiego a takiego, wysłanej z Nashville w stanie Tennessee. Urząd zapytywał, czy jestem już zarejestrowana jako właścicielka radiostacji, która znajduje się w paczce. Jeżeli tak, proszę o przegłanie odpowiedniego dokumentu, wydanego przez Nadinspektorat Radiowy w Krakowie. Bez owego zezwolenia mogą natomiast wysłać następujące rzeczy jako to: 1) sandały damskie, 2) dzinsy dziecięce itd. itp.

NAWET NIE ZAUWAŻYLIŚMY, KIEDY DOJECHALIŚMY NA DWORZEC. Grzesz był nieszczyśliwy. Ojciec przysłał mu radiostację, a matka właśnie w tym momencie wywozi go na jakieś głupie wakacje do Celniewa. I wszystko przeciągnęło się o dwa bite miesiące! Jedynym jaśniejszym punktem naszej podróży była przesiadka w Gdyni.

Przyjechaliśmy, o dziwo, punktualnie, a więc bladym światem. Doczekaliśmy do otwarcia poczty przy Polskiej i jako pierwszy interesanci wkroczyliśmy do urzędu.

Po wyjaśnieniach i legitymowaniu się dowodem tożsamości, sympatyczny urzędnik wydał nam paczkę, bez Grzesiowego superprezentu. Z uśmiechem pokazał maleńkie białe pudełeczko, zawierające japońskie walkie-talkie. Było mniej więcej wielkości futerału na dwie talie kart. Odpowiednie przepisy nie pozwalały na otwarcie zapieczętowanego opakowania.

Nie wiem, czy to meką ambicją mojego ośmiolatka, czy też mizerne rozmiary radiostacji, spowodowały, że dziecko zachowało się wspaniale. Nie odbyła się na poczcie żadna, obliczona na zmiecenie przeciwnika, scena. Nawet fakt, że szczerze zdziwiona, usiłowałam dociec, czemu male walkie-talkie nazywają radiostacją nadawczo-odbiorczą, na której posiadanie potrzeba specjalnego zezwolenia, nie skłonił Grzesia do wzięcia udziału w dyskusji. Dopiero, gdy jechaliśmy już wśród nadmorskich lasów, zapytał jakim prawem grzebał w naszej paczce, zamiast przysłać ją do Krakowa. Nie wydała mi się, abym mu udzieliła sensownej odpowiedzi.

„Karol X” zjawia się w domu

PO POWROCIE DO KRAKOWA, OPALONA I PEŁNA OPTYZMU UDAŁAM SIĘ DO PIĘKNEGO PAŁACYKU, W KTÓRYM MIESCI SIĘ ROZGŁOŚNIA. Nadinspektorat Radiowy nie miał jednak, jak się okazało, nie wspólnego z Radiem na Szlaku. Mieścił się przy ulicy Malczewskiego, a więc prawie na Bielanach. Dotarłam tam dopiero po kilku dniach i po zgrzmadzeniu odpowiedniej dokumentacji, po napisaniu podania, w którym musiałam umotywić chęć posiadania radiostacji typu „Atlantyc” wyprodukowanej przez Japończyków. W końcu, po zakupieniu znaczka skarbowego na sumę 50 zł, odetchnęłam z ulgą. Teraz tylko pozostało nam czekać na pozytywne rozpatrzenie sprawy.

Po kilku tygodniach w liście poleconym przyszła legitymacja właściciela radiostacji nadawczo-odbiorczej nr taki a taki, hasło wywoławcze: „KAROL X”. Brzmiało to intrygująco. W kopercie znalazłam też potrzebne pismo, które natychmiast wysłałam do Gdyni, do znanego już nam osobiście Urzędowi Pocztowego.

W mglisty, listopadowy dzień, nadeszła maleńka paczuszka, zawierająca Grzesiowy skarb. Było to prawdziwe cacko. Od tej chwili mogłam porozumiewać się z moim synkiem jedynie drogą radiową. Nie wolno mi było zwracać się do niego wprost. Meldowałam tylko konieczność podjęcia negocjacji, po czym zamykałam się szczerze, np. w łazience, ponieważ w naszym mieszkaniu słyszy się każde kichnięcie, i przyciskałam odpowiedni guziczek mówiący: Uwaga, uwaga, tu „Karol X” (wymawiałam mylnie moje hasło wywoławcze jako kks, dopiero później gdy zmieniano mi je kolejno na „Karol XI” i „Karol XII”, okazało się, że to liczba a nie litera) proszę zgłosić się w kuchni na obiad. Przechodzę na odbiór. I znów coś przyciskałam. Rozlegał się pisk i przy tym akompaniamencie nadbiegała z eteru odpowiedź. Prawdę mówiąc, nieraz oszukiwałam Grzesia i chyłkiem otwierałam drzwi od pomieszczenia, w którym ukrywałam się z moją radiostacją, żeby słyszeć bezpośrednio, co chce mi zakomunikować.

LATO SPĘDZILIŚMY W JASTARNI. Grzesz imponował kolegom o parę lat od siebie starszym, nadając o każdej pełnej godzinie komunikat do mojego grajdoła. Nerwowo spoglądałam na zegarek, żeby usłyszeć głos dziecka, które stałe zniknęło mi z pola widzenia, ale, zgłaszało się, co sześćdziesiąt minut. Nastolatki całą bandą uganiały się za Grzesiem i mój jedynak nie mógł skarżyć się na brak towarzystwa. Dopiero niedawno powiedział mi, że to właśnie wtedy wypalił pierwszego papierosa. Wypalił go tuż po rozmowie ze mną. Miał do następnego zameldowania całą godzinę. Mógł spo-

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)



# PŁK RÓŻAŃSKI mistrz inkwizycji

Tadeusz Kudliński

Oto ciąg dalszy wspomnień więziennych zmarłego w ub. r. znanego pisarza i teatrologa, Tadeusza Kudlińskiego. Fragmenty drukowane poniżej pochodzą z przygotowywanego do druku tomu „Starość nie radość”. Śródtytuły pochodzą od redakcji.

W sprawach członków konspiracji okupacyjnej należała do reguły próba skompromitowania każdego zarzutem kolaboracji z okupantem. Ta powszechna próba zdezwuowania uczestników konspiracji dotknęła także i mnie. Zrazu nie mogłem się połapać, bo absurdalne wydawało mi się, by można było tak zinterpretować podany przeze mnie w życiorysie fakt pobytu w więzieniu hitlerowskim. Upierano się, że mnie Niemcy w końcu puścili, a w takim razie musiałem podpisać deklarację współpracy i sypać. Trwała ta mordęga wmań w nieskończoność. Skończyło się na tym, że wbrew przyjętej przeze mnie zasadzie, by zachować konieczny spokój i rozwagę, popadłem w bezrozumną histериę, poczęłem się drzeć na całe gardło i wymyślać śledczemu. Powstało zamieszanie, mój śledź się przeląkł, przybiegli inni, bo krzychałem na cały pawilon, za nimi wkroczył sam Serkowski, widać w obawie, że mogę zaatakować jego oficera. Widząc, że to nie grozi, gdy ja tymczasem oklapnąłem jak przekłuty balon, zmomnitował mnie ostro, że osmieliłem się podnieść głos, za co powinien mnie ukarać. Ale nie dotrzymał jakoś pogroźki, a ze sprawą kolaboracji dano mi wreszcie spokój.

## Fabrykowanie oskarżeń

Inaczej wyglądało posądzenie o kolaborację w innym wypadku, którego byłem świadkiem. Był to klasyczny przykład fabrykowania oskarżeń i wymuszania zeznań. Oto pojawił się w naszej celi ktoś nowy — o tyle obcy, że zachowaniem odbiegał od powszechnego habitusu więziennego. Mianowicie nie trapił się wcale tym, że go przymknęto, był bez troski i wręcz wesoły. Zdziwieni, a nawet urażeni tym niestosownym zachowaniem, próbowaliśmy zorientować się, na czym przybysz oparł tak rażące lekceważenie kryminalnej sytuacji. Dowiedzieliśmy się, że nazywa się Pawlina, że za okupacji był adiutantem generała Skokowskiego, dowódcy PAL czyli Polskiej Armii Ludowej, o socjalistycznej prowincjonalności i orientacji. Po wkroczeniu wojsk radzieckich ugrupowanie to poszło w rozsypek, a Pawlina przystał do polskiej armii ze Wschodu i w jej szeregach ukończył karierę wojenną w stopniu majora i z Krzyżem Grunwaldu. Wszystko więc było w porządku i aktualnie Pawlina miał rodzinę i intratną posadę, a Skokowskiego aresztowano przy nielegalnym przejściu granicy.

No i co dalej?

No dalej, że szukano świadków zdrady generała. Wybór padł na kogoś jak nie na byłego adiutanta. Zaproszono więc Pawlinę, był świadkiem jako najbliższy współpracownik Skokowskiego. Ponieważ jednak tenże Pawlina nie a nie o owych machinacjach zdradzieckich nie wiedział, przeto nie chciał podjąć proponowanej mu roli w procesie. A wtedy ogólnie i delikatnie przymknęto go, by pomówić poważnie o sprawie. Jednak naiwny Pawlina (któż nim nie był przed autopsją?) nie sobie z aresztowania nie robił. Chadzał też na przesłuchania, raczej rozmowy, bo nalegano nań łagodnie i rzeczowo, aby zgodził się wreszcie świadczyć. Kiedy wymawiał się stałym argumentem, że nie o kolaboracji generała nie wie, zdziwiono się szczerze jego niewiedzą. — Toż ten Skokowski dawno się już sam przyznał, że podpisał deklarację, że wysługiwał się gestapo: człowiku, czego ty jeszcze chcesz? Co cię trzyma za portki, że nie chcesz gadać?

Pokazano zdumiałemu Pawlinie ad oculos protokoły tych zeznań zakończone podpisem generała. — Patrz naiwniaku, znasz jego podpis przecie, podpisał sam, czy nie? No jak? Pawlina musiał przyznać, że poznaje podpis. Jednak nie przecząc tej oczywistości, upierał się, że mógł się generał przyznać do kolaboracji, ale on, Pawlina, o tejże kolaboracji — ani czytał, ani pisał. (...)

No i afera skończyła się dość nieoczekiwanie i właściwie bezboleśnie. Jednego dnia wywołano Pawlinę jak zwykle, i nie było go już dłużej w celi. A kiedy wrócił wreszcie — z dość kwaśną miną — odpowiedział na nasze pytania krótko: — Będę zeznawał. Na procesie. Skokowskiego. — Bili cię? — pytałismy logicznie. — Nie, palcem nie tknęli. — Więc jak? Skokowski zdradzał? — Ale, gdzie. — I jak cię przekonali? — Ba, sam Różański...

## Metody mistrza

Na opornego Pawlinę czekał w pawilonie przesłuchań sam uperfumowany wielki mistrz inkwizycji i ponoć wcale niegroźny (wedle wrażenia Pawliny). Trzymał przyjacielskie przemówienie, krótkie i treściwe. Wyglądało to tak mniej więcej.

— Pawlina, melduj mi moi oficerowie, że wzbraniecie się zeznawać na procesie kolaboranta Skokowskiego. Mimo że on sam się przyznał, co udowodniono wam dokumentem. Nie pojmuję też waszego nierozumnego uporów, by nie pomóc nam do ukarania winnego. Ale mniejsza o to. Trzeba, Pawlina, byście zrozumieli, że ja postanowiłem, że wy będziecie świadczyć, a jak ja postanowiłem, to tak będzie, żeby nie wiem co. Mamy tu czas i cierpliwość i środki, które zapewnią was poważnie, skłonią każdego bez wyjątku do uległości — wcześniej czy później. Są na to sposoby. Powiem wam tylko jedno, że szkoda waszej skóry, Pawlina, waszej żony i waszych dzieci, waszej posady, wszystkiego, co macie, bo to wszystko możecie stracić przez wasz upór. Ale nie chcę was straszyć groźbami. Chodźcie ze mną.

Wedle dalszej relacji Pawliny, Różański poprowadził go sam podziemnym korytarzem na nasz blok i tu wyprowadził na najwyższe piętro. Trzeba dodać, że cele na tym poziomie nie miały zwyczajnej obsady więźniów, a przeznaczono je na egzekucje tzw. „środków przymusowych”, wykonywanych przez wspomnianych już „bijaków”.

Różański przystanął i polecił teraz Pawlinie, by obszedł cały okrąg piętra i pozwolił mu zajrzeć przez wizytierki do każdej celi po kolei, żeby sprawdził, co się w nich dzieje czy działo. Po skończeniu tego obchodu miał zameldować się z powrotem u Różańskiego. Kiedy Pawlina wykonał polecenie i znalazł się w obliczu wszechmocnego, rzekł bez pytania:

- Będę zeznawał, panie generale.
- No widzisz, wystarczyła rozsądna rozmowa.

## Niewłaściwy światopogląd

Widać było po przesłuchaniach, że moje śledztwo dobiega czy raczej dobiega końca. Fascykul sprawy wędrował teraz do prokuratora i sądu, a wedle powszechnego przekonania opatrzone był krótkim komentarzem władz śledczych i konkretnym wskazaniem co do wymiaru kary, którą to wskazówkę sąd ponoć respektował. Tak więc byłem świadom, że już teraz i przed rozprawą decyduje się moja najbliższa przyszłość.

Kiedy zastałem mego śledczego w dobrym nastroju (cieszy wszakże, „kiedy koniec dzieła chwali”), zaryzykowałem na marginesie rozmówkę „prywatną”. Zagadnąłem więc ex abrupto:

— Panie poruczniku, proszę mi powiedzieć tak w cztery oczy, za co ja właściwie będę siedział. Bo wiem, że będę siedział, tylko nie wiem za co?

Pokiwał głową: — Niby to inteligent, nawet pisarz, i nie wie.

Uznałem, że po tej replice można rzecz ciągnąć dalej.

— Bo jakby tak ścisnąć w garści wszystko, co pan porucznik tu spisał, to niewiele by zostało po prawdzie.

— No, no — obruszył się porucznik — tak to łatwo się zdaje. Ale posłuchajcie: Jesteście pisarzem. Wiadomo, że każdy pisarz we wszystkim co napisze — nawet w recenzji teatralnej (tak, tak czytaliśmy niejedną przecie) — daje wyraz swej postawie, swemu światopoglądowi. Nie tak?

— Tak, oczywiście tak.

— No dobrze, zgadzamy się. A jakiemu to światopoglądowi dajecie wyraz w tym co piszecie?

— Katolickiemu chyba.

— W porządku. Wiemy, żeście katolik. Każdy sobie rzepkę skrobie. Jedno jeszcze: pytam was, czy katolicyzm przyspiesza rozwój komunizmu w Polsce?

— Chyba nie za bardzo.

— No i za to pójdziecie siedzieć. Jasne?

— Jasne, panie poruczniku.

Wożono mnie teraz do wojskowego sądu rejonowego, by podpisywać przeróżne papiery. Odczytano mi akt oskarżenia o zbrodnię z art. 86 § 2 KKWP (tzn. kodeksu karnego Wojska Polskiego) za którą uznano powojenną działalność „Unii”. Między dowodami mojej akcji dywersyjnej wymieniono w oskarżeniu ku memu zaskoczeniu — Teatr Rapsodyczny, grający wówczas całkowicie legalnie.

## Co nowego w prasie?

Przypadek zrzucił, że w prasie zeszłego tygodnia zabrzmił dwugłos o sytuacji kultury, oceniający ją w sposób całkowicie różny. W POLITYCE (nr 7) w artykule „Godzina prawdy” b. pani minister Izabella Cywińska rozlicza się pokrótce ze swej działalności. Bilans wypadł dodatnio; resort ma sukcesy w dziedzinie legislacyjnej, Fundacja Kultury może pełnić bardzo pozytywną rolę, nie najgorzej jest z budżetem kultury, choć trochę niepokoi los tej jego ćwierci, którą dysponować będą samorządy. Lecz: Nie słuchajmy kasandrycznych głosów (...). Nieprawdą jest, że zamyka się teatry (...). Żadne zastępowe wydawnictwo nie zostało zlikwidowane. Nowych wydawnictw powstały setki i dobrze się mają. Klasyka po raz pierwszy leży na półkach... Wprawdzie głosy pretensji dobiegają ze wsi i małych miast, narzekających na brak możliwości uczestnictwa w kulturze. Wysokie czynsze zagrażają egzystencji wielu punktów bibliotecznych i księgarni. W sumie jednak nie jest źle, autorka zaś stwierdza, że w swym tekście: uciekałam od tak popularnego w naszym środowisku żalenia się na wszystko i na wszystkich. Czy jednak nie uciekała w uludę?

Zgoda odmiennie postrzega sytuację Jerzy Braun, prezes Stow. Pisarzy Polskich (TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ, nr 7). Jego opinia pokrywa się z oceną Cywińskiej jedynie w kwestii niepokoju o los funduszy „na kulturę” oddanych samorządom. Co do innych spraw: Państwo wycofuje się krok po kroku z mecenatu w dawnym znaczeniu, nie tworząc mecenatu odpowiedniego na czas kryzysu (...). Dawniej kultura przegrywała z ideologią, dziś z finansami (...). Dziś w Warszawie sprzedaje się teatry, jutro może zostanie sprzedana filharmonia. Nas najbardziej obchodzi biblioteki i sieć księgarska czy kluby książki (...). Ceny są barierą coraz bardziej ograniczającą krąg ludzi, których stać na zakup książek, pozostają więc wypożyczalnie. Te z kolei nie są w stanie samodzielnie się utrzymać (...). Co będzie z upowszechnianiem oświaty, z czytelnictwem, z tą kulturą na szczeblu podstawowym? Państwo (...) rezygnuje z polityki kulturalnej w tej dziedzinie. A wracając do mecenatu prywatnego, to przede wszystkim powinien on powstać. Na razie, w istniejącej rzeczywistości, są to gruszki na wierzbie...

Ciekawe, którą z tych dwóch sprzecznych opinii, potwierdzają obserwacje naszych Czytelników? J.L.

## Komunizm zniknął, problemy pozostały

(C. D. ZE STR. 1)

grupowań, zachowuje wobec nich niezależność. Nie stajemy również w zasadniczej opozycji wobec „obozu Wałęsy”. Jesteśmy gotowi popierać to wszystko, co uważamy za słusne, a krytykować to, co uznajemy za niesłuszne.

„Tygodnik Powszechny” nie był nigdy i nadal nie jest oficjalnym organem Kościoła, jakkolwiek jest z Kościołem związany. Mamy nawet asystenta kościelnego, mianowanego przez władze kościelne. Ale działamy na własną odpowiedzialność i sądzimy, że w ten sposób możemy lepiej służyć społeczeństwu.

▲ Pozycja i znaczenie dotychczasowych elit — kulturalnych, humanistycznych czy intelektualnych — ulega radykalnej zmianie. Na ich miejsce wkraczają środowiska dawniej mało znaczące: technokraci, drobni biznesmeni, zawodowi działacze polityczni, a często po prostu wyemancypowani robotnicy. Czy sądzi Pan, że należałoby przeciwdziałać temu procesowi?

— Myślę, że trudno byłoby się przeciwstawić. W pewnym sensie jest to zjawisko normalne. Obalenie systemu

komunistycznego wywołało początkowo euforię, ale szybko okazało się, że demokracja jest sztuką trudną. Z chwilą, kiedy ujawniły się wszystkie możliwe poglądy, nastąpiła pluralizacja czy nawet polaryzacja społeczeństwa, wyszła na powierzchnię również kultura masowa, wolna, nie skrupowana naciskami politycznymi. Ale w kulturze masowej, tak w Polsce, jak i na Zachodzie, sporo jest elementów prymitywnych, a nawet wulgarnych. Myślę, że kultury wysokiej trzeba bronić, nie oznacza to jednak dążenia do wyeliminowania kultury niższego lotu, która przecież nie w całości jest bezwartościowa.

Inteligencja odgrywała bardzo dużą rolę w okresie walki z komunizmem, a dzisiaj jest rzeczą naturalną, że technokraci i pragmatycy przejmują władzę. Dzięki temu elity kulturalne mogą powrócić do swoich funkcji. Jestem przekonany, że niezależnie od przemian, te funkcje są ważne.

▲ Czy nie obawia się Pan niebezpieczeństwa, że w związku z ogólnym zaniedbaniem kultury, Kraków utraci pozycję centrum życia kulturalnego?

— Nie jestem aż takim pesymistą. Wydaje mi się, że jesteśmy w okresie przejściowym. W miarę normalizacji ekonomicznej przede wszystkim potrzeby kulturalne powinny znów stać się istotne, a wówczas Kraków odzyska swoje znaczenie jako ośrodek kultury i życia artystycznego.

▲ Jak środowisko „Tygodnika Powszechnego” i ZNAK-u przygotowuje się na majowe sympozjum KBWE?

— Oczywiście, ludzie, którzy należą do tego środowiska, są mocno zaangażowani w przygotowania. Choćby prof. Jacek Woźniakowski, mimo iż nie jest już prezydentem miasta, nadal bierze udział w pracach zmierzających do jak najlepszego przyjęcia gości z całego świata.

Natomiast nie bardzo sobie wyobrażam, jak „Tygodnik Powszechny”, jako pismo o szczególnym profilu, mógłby się włączyć bezpośrednio w te przygotowania.



# „KAROL X“ nie odpowiada

(CIAĞ DALSZY ZE STR. I)

kojnie dojsć do siebie pod opieką nowych przyjaciół, bez obawy, że wtargną do kryjówek na wydmach i złapią ich na gorącym uczynku. Gdyby nie „Karol X” ten krok w dorosłość nie dokonałby się w tak komfortowych warunkach. Zapach szkolnej toalety, w której zwykle młody człowiek poznaje urok palenia, często zraża co wrażliwszą jednostkę. Grześ wprawdzie rzucił ów nałóg zaraz po wakacjach, ale, niestety, nie na długo.

## Wędrowni „Karola”

MYŚLE, ŻE ODNAWIAŁAM COROKU POZWOLENIE NA KORZYSTANIE Z RADIOSTACJI JEDYNIEM Z LENISTWA. Było mi wygodnie odpowiadać pisemnie na kolejne wezwania, słane z Nadinspektoratu Radiowego, nakleić znaczek za 50 złotych na podaniu a na koperce pewnie za 5 groszy, niż wybierać się na drugi koniec miasta ze słabo już prosperującym walkie-talkie i na oczach urzędnika rozbiierać aparat na części podstawowe. Trzeciej alternatywy (jak mawiają niektórzy nasi politycy) nie było. Demontaż albo prolongata zezwolenia. Dodatkową atrakcją była forma, w jakiej redagowałam podania. Do niedawna pałętały się po szufladach kopie moich próśb o używanie zepsutej zabawki mojego dziecka, zwanej radiostacją nadawczo-odbiorczą. Bawiło to Grzesia i mnie, gdy odczytywaliśmy opatrzone opłatą skarbową dokument. Trzeba przyznać, że nasz zmysł humoru nie znajdował uznania u adresata. Przesyłało mi nową legitymację, zmieniano hasło wywoławcze na następnego Karola, bez słowa komentarza.

„KAROL XII” NIE BYŁ JUŻ ZDOLNY DO PRZENIESIENIA GŁOSU NAWET NA ODLEGŁOŚĆ JEDNEGO METRA. Czasem odczuwałam wobec niego wyrzuty sumienia i chciałam zanosić go do naprawy, ale, prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia gdzie siętackie coś naprawia. W pewnym momencie straciłam go z oczu, a jak wiadomo co z oczu to i z serca. Biegły lata a ja gromadziłam kopie podań skierowanych do Nadinspektoratu przy Malczewskiego 5. Otrzymywałam nowe legitymacje, które były jak dokumenty dawno zmarłej osoby. Po jakimś czasie okazało się, że walkie-talkie wędruje sobie po rodzinie, już raczej w charakterze atrapy, służąc najmłodszemu. Mam trzynaścioro ciocięzkiego rodzeństwa i jednego kuzyna. Prawie wszyscy oni mają dzieci. Wszystkie dzieci bawią się w złodziej i policjantów. „Karol” przechodził więc z rąk do rąk i nie powierzał się już po kątach naszego M.

## „Karol” wkracza w stan wojenny

TAK NADSZEDŁ, SZCZEGÓLNY DLA NASZEGO KRAJU, ROK 1981. Pamiętnej niedzieli, trzynastego grudnia wracałam ekspresem z Warszawy. Przyznaję bez specjalnego wstydu, że bardzo się bałam. Bałam się o Grzesia, który był na drugim roku fizyki i ostro działał w w. N.Z.S. Bałam się o „sentymentalną pannę S” Bałam się o nas wrościekch. Jeszcze na warszawskim dworcu mignęła mi wysoka postać Marty, przyjaciółki Grzesia z liceum. Odnalazłyśmy się podczas podróży. Była w towarzystwie młodego człowieka, którego znałam dotąd jedynie ze słyszenia. Nie mieli gdzie się podzielić w Krakowie. Marta wolała nie wracać do domu, jako rzeczniczka prasowy N.Z.S. w każdej chwili spodziewać się mogła nieproszonych gości. Adam nadawał się do natychmiastowego internowania, był też rzeczniczką prasowym, tyle że Regionu Solidarności z Przemysła. W dodatku nie miał przy sobie, o zgrozo, dowodu tożsamości. Nowy dowód osobisty miał odebrać po Świętach, w Zabrzu, miejscu stałego zameldowania. Uczynił to zresztą, i jak łatwo się domyślić, czekało już tam na niego dwóch smutnych panów. Przejeżdżając przez Kraków późnym wieczorem w drodze do Zależa, widział oświetlone okna naszego domu, gdzie czekałyśmy zdenerwowane, słusznie podejrzewając najgorsze.

BYŁAM WRZUSZONA, bo na krakowskim dworcu czekał na mnie nasz sąsiad, Tadzio Słowakiewicz z córką.

Tadzio działał jak pigułka na uspokojenie. Jest pogodny i zrównoważony. Wiadowaliśmy się do jego fiata i nie zatrzymywaliśmy przez nikogo, w paręnaście minut znaleźliśmy się w domu. To, że żaden z wojskowych patroli nie zainteresował się nami było całkiem wyjątkowym zrzędzeniem losu. Gdy dzisiejsi państwo Szostkiewiczowie, Marta i Adam, zasiedli z Grzesiem do kolacji, pojechałam naszym fiacikiem, mając w baku ostatnie krople benzyny, do mojej mamy. Telefony przecież nie działały, musiałam się z nią zobaczyć, żeby wiedziała, że jestem już w Krakowie, cała i zdrowa. Na przetrzeni trzech kilometrów, dzielących nasze domy, sprawdzano mi dwukrotnie dokumenty, a także zawartość bagażnika.

KIEDY NAZAJUTRZ OBKLEJONO MIASTO DUŻYMI BIAŁYMI AFISZAMI, UJMĄCYMI W PUNKTACH PRZEPISY STANU WOJENNEGO, stanęłam jak wryta. Jeden z paragrafów dotyczył właścicieli radiostacji nadawczo-odbiorczych. Byłam zobowiązana dostarczyć „Karola XII” w bardzo krótkim terminie, zdaje się trzech dni, do odpowiedniego dla mej dzielnicy punktu.



Rys. WACŁAW KŁAG

W razie niesubordynacji wiadome służby miały zarekwirować ukryte przed nimi urządzenie. Nie trzeba było specjalnej przenikliwości, żeby dokładnie wyobrazić sobie co nas czeka. Jeżeli nie odnajdę tej cholernej zabawki, myślałam, przyjdą i znajdą Martę i Adasia Szostkiewiczów. Gdy zaczęła szperać okazało się, że w pokoju Grzesia zgromadzona jest większa ilość papieru do powielacza. Zabrają więc nie tylko Martę i Adasia, ale też Grzesia.

## Gdzie jest „Karol”?

NATYCHMIAST PO WYJŚCIU Z PRACY BIEGAŁAM, DO GODZINY POLICYJNEJ, PO KREWNYCH I ZNAJOMYCH w poszukiwaniu zepsutej zabawki, którą przed dziesięciu laty dostało moje ośmioletnie dziecko. A jak pokpiwaliśmy sobie z „Karola” przypominałam sobie, przemierzając brudne, mroźne, szare i smutne miasto w kolejnych środkach lokomocji. Już po pierwszych niepowodzeniach w porozumieniu się ze mną z ulicy, Grzesiowi przyszło do głowy, by nasza radiostacja miała hasło wywoławcze: „Karol X nie odpowiada”. Oni tam sobie, myślałam z gorzycą, popijają herbatkę popularną, zagryzając serkiem homo z musztardą, słuchając „Wolnej” i prowadzą długie, nocne rodaków rozmowy, a ja, myślałam, wpadam do kuzynki i kuzynów z głupim pytaniem czy nie pożyczili przed ośmiu laty walkie-talkie od Grzesia!

DO ZDEPONOWANIA RADIOSTACJI POZOSTAŁ JUŻ TYLKO JEDEN DZIEŃ. I wtedy moja nieoceniona mama przypomniała sobie komu jej wnuczek pożyczył ów zakazany przedmiot. Mój ciocięzki brat, Marek Choloniowski, mieszkał na Osiedlu na Lotnisku. Miał dzieci i miał nasze walkie-talkie. Czas naglił.

## „Karol” jako łup wojenny

BYŁ WIECZÓR, GDY MAREK PRZYWIOZŁ MI WALKIE-TALKIE. W ostatniej, że tak powiem, drodze „Karola”, wspierał mnie duchowo wspomniany już inżynier Słowakiewicz. Bez Tadzia nie odnalazłabym zapewne tego budynku. Tym bardziej że krążyliśmy, jak pamiętam, od ulicy Wielopole, skąd odesłano nas na św. Gertrudy (wówczas Waryńskiego) aż w końcu zajechaliśmy aż na Cystersów. I to był właściwy adres. Na szczęście. Zbliżyła się bowiem godzina milicyjna, a 17 grudnia już nikomu nie chciało się żartować na temat pomysłów Generała.

Starannie schowałam do szufladki, przeznaczonej na najważniejsze dokumenty, dowód oddania trefnego, nadawczo-odbiorczego urządzenia. Pamiętam, że do nocy słuchaliśmy tego dnia komentarzy wydarzeń z kopalni „Wujek”. Na zmianę łapałmy wrogie rozgłosnie zachodnie i nastawialiśmy piosenki Kaczmarskiego. Pasowały do sytuacji jak ułaj.

## „Karol” straszy nadal

FORMALNIE BYŁO JUŻ PO STANIE WOJENNYM, gdy nadeszło zawiadomienie, zrywające mnie do odebrania radiostacji. Nie ma głupich, pomyślałam. Nigdy więcej walkie-talkie. Żadnych legitymacji, żadnych hasel wywoławczych. Piszę długie pismo, tam do owego składu na Cystersów. Przyznaję się w nim, że nadawanie radiowych programów przy

pot z czoła. Widać, że poszedłby już do domu. Mówię: tutaj postawimy kreskę. Jaka? — pyta władza. O taką przez całą rubrykę, z góry na dół. Temat jest zbyt obszerny, abym mogła skwitować go jednym zdaniem — dodają widząc zakłopotanie milicjanta. Wydaje mi się, że to ja przekreśliłam ów punkt formularza. Ale możliwe, że zrobił to sam funkcjonariusz.

## A duch „Karola” unosił się nad nami...

NADSZEDŁ MAJ 1988. Po trzeciomajowej demonstracji wyładował w naszym mieszkaniu kilkumetrowy transparent z napisem: Solidarność. Cynobrowa farba sypała się i postanowiłam nie zwiąć płótna, tylko umieścić je w kącie za drzwiami. Sprytnie zaczepiłam materiał o półkę i spływał sobie swobodnie, nie rzucając się w oczy. Drzwi od mojej pracowni były zwykle otwarte i swym skrzydłem zasłaniały wymalowaną tkaninę. Był to rekwizyt zasłużony w boju. Brał udział w wielu zadymach. Następna przygotowywała się na trzynastego. Spodziewałam się, że lada dzień wpadnie do nas Janusz Młętka, żelazny uczestnik wszystkich nielegalnych manifestacji, który swą miłość do „S” przypłacił ciężką chorobą serca. Pożegnaliśmy go w rok później na Batowickim cmentarzu. Transparent był jego własnością. Przez kraj przeszła fala strajków. W Hucie było gorąco. Zbliżał się trzynasty i niektórzy przebąkali, że przeżyjemy raz jeszcze powtórkę z rozgrywki, rozegranej w grudniu '81.

CZEKAŁAM NA JANUSZKA I STUKAŁAM PRACOWICIE NA MASZYNIE. Gdy piszę, tracę poczucie rzeczywistości, zamykam się cała w wymyślonym świecie. Dzwonek i obłędne ujadanie naszych psów wyrwały mnie z transu. Z okrzykiem: spokój, to idzie Januszek! otworzyłam drzwi. Stał w nich nasz dzielnikowy. Chociaż od czasu jego ostatniej wizyty minęło 5 lat, poznałam go natychmiast. Wysoki i zwalisty, tkwił bez ruchu w proggu mieszkania. Pseudo-wyżel Hultaj usiłował zantakować go od góry, podczas gdy jamniczek Babel, stworzonko wyjątkowo kaśliwe, działało już przy obuwiu służbowym sierżanta.

Wepchnęłam rozszalałą sforę do poikoiku tuż przy drzwiach wejściowych. Ale Hultajek doskonale radził sobie z kłamką. Miałam niewiele czasu, aby uchronić funkcjonariusza przed następnym atakiem czworonogów. Poprosiłam, aby przesunął się w głąb mieszkania, co też uczynił bez zastanowienia. Hultaj runął właśnie na kłamkę i zakotłowało się w wąskim przedpokoju. Milicjant znalazł się w mojej pracowni. Musiałam zamknąć za nim drzwi, polapać psy na smycz i przywiązać je do jakiegoś trudno przesuwalnego sprzętu. Gdy to czyniłam, już wiedziałam, że zamknęłam władzę z transparentem „Solidarność”.

Na tle cynobrowego napisu, sierżant prezentował się godnie, choć nieco szokująco. Fakt, że owe 5 metrów materiału miał za plecami. Teraz wszystko zależało od tego, czy skorzysta z tego, czy nie. Z tyłu człowiek nie ma oczu. Nawet władza.

WIZYTE DZIELNICOWEGO ZAWDZIĘCZAŁAM POZOSTAWIOWNEJ W DEPOZYCIE RADIOSTACJI. Tłumaczyłam, że właściwie to nigdy nie miałam takiego radiowego urządzenia, a zabawkę walkie-talkie porzuciłam, w składach przy ulicy Cystersów. Nie miałam jednak żadnego dowodu na prawdziwość swych słów. Kopia mojego arcydawnego pisma zniknęła. Zaczęłam jej nerwowo szukać. Grzebałam w szufladach, pełnych maszynopisów. W uszach mi szumiało. To niech już pani nie szuka, nie ma pośpiechu, mówi władza, chowa wyciągnięty z teczek kwestionariusz i wychodzi. Sprawdzę sam, oni na Komendzie muszą mieć to odnotowane, dodaje z uśmiechem.

Sprawa „Karola” przeszła do historii. I chociaż teraz, tu i ówdzie wybuchają strajki, nie ma to już wpływu na życie byłego właściciela radiostacji nadawczo-odbiorczej typu „Atlantic”.

Elżbieta

Zechenter-Spławińska



## „To nie jest głupi wiersz...”

Co roku odbywają się ogólnopolskie olimpiady literatury i języka polskiego. W tym roku jednym z tematów była interpretacja wiersza Ewy Lipskiej „Stół rodzinny”. Spośród 171 uczniów liceów z województw: bielsko-bialskiego, nowosądeckiego, tarnowskiego i krakowskiego — ten akurat temat w eliminacjach okręgowych wybrało aż siedemdziesiąt siedem osób.

Poniżej drukujemy fragmenty niektórych prac. Uzyskał je dzięki uprzejmości mgr MARII DZIURZYŃSKIEJ-ŚCIBIOR, nauczycielki języka polskiego z XIII Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie, która pełni funkcję sekretarza Komitetu Okręgowego Olimpiady.

### CO TAK NAPRAWDĘ ŁĄCZY LUDZI?

Coż z tego, że siedzimy wszyscy przy wspólnym stole, kiedy wszystko nas dzieli, nic łączy?

„A barszcz za stony. Morze za szerokie. / Rodzina nie ma sobie nic do powiedzenia”.

Jest tu także mowa o ogromnej przepaści, jaka dzieli pokolenia od siebie. Bo różne pokolenia to jakby odmiennie światy, w których nie tylko życie jest inne, ale także czas inaczej płynie.

„Każdy trzyma krajobraz własny przed oczami...”

Nie integruje już ludzi rodzina. Każdy zastanawia się nad sobą, nad własnym życiem. Już nikt nie myśli kategoriami „my”, a każdy myśli kategoriami „ja”.

Wiele utworów już traktowało o niezłuczeniu ludzi, o obojętności, o smutnej prawdzie samotności na świecie pełnym ludzi. Jednak w wierszu Lipskiej temat ten został pokazany na bardzo „wrażliwym” przykładzie rodziny. Może nie nas nie obchodzić wśród zupełnie obcych ludzi, ale gdy chodzi niemal o cząstkę nas samych?

Rodzina wypuszczona na „szerokie morze” nie zdaje egzaminu, rozpada się. Być może zostaje brutalnie „rozstrzelana” na froncie życia. Ale idea rodziny przecież nie upadnie nigdy. Nie jest też, myślę, powiedziane, że z każdą rodziną musi się stać podobnie.

Czy w ogóle pojęcie „rodzina” odnosi się tylko do tego wąskiego grona ludzi mieszkających w jednym domu i połączonych jakimś węzłem pokrewieństwa? Trudno przecież stwierdzić, co chciała wy-

wrazić autorka. Ale bardzo dużo zależy od naszej interpretacji. Myślę, że pojęcie „rodzina” można odnieść także do ludzi zamieszkujących dany kraj lub w ogóle do ludzi na Ziemi.

Ewa Lipska podjęła bardzo ważną kwestię: co tak naprawdę nas łączy? Bo przecież rodzina to tylko parawan, za którym „Każdy (...) na własny wjeżdża peron o innej godzinie...”

KATARZYNA MATEREK  
LO w Myślenicach, klasa III d

### KAŻDY Z NAS SIĘ ODRADZA

Bardzo często używa się od jakiegoś czasu słowa „stół”. Związane z pojęciem czynnika łączącego, scalającego, wnoszącego miłość i pokój. O ile w kategoriach polityki (pamiętny „okrągły stół”) na ogół jest to fraza, to w sytuacjach mniej doniosłych stół rzeczywistości ma niezwykle dar jednoczenia i uspokajania.

Choć właściwie trzeba się zastanowić, czy owe „mniej doniosłe” sytuacje nie są bardziej istotne, niż spotkania na „wysokim szczeblu”. I czy w nich częściej nie sprawdza się pojęcie „stół”...

Dlatego tytuł wiersza jest dość jednoznaczny. Stół rodzinny — tu zapewne dokonuje się coś pięknego, doniosłego, serdecznego i intymnego zarazem. Rodzina — a więc ciepło, zrozumienie, miłość.

Niestety. Nie taki obraz kreśli w utworze Ewa Lipska. Przyjrzyjmy się, kto tworzy ukazaną rodzinę. Centralne miejsce zajmuje babcia. Ale czy rzeczywistość? Niestety, mimo wieku i czcigodności — babcia nie stanowi centrum i nie wokół niej skupiona jest uwaga.

Babcia jest postacią skreśloną w ten sposób, że wzbudza litość i żal. Przeżyła z

przeszłości zlewają się jej w jeden, absurdalny fakt — sukienki rozstrzelanej w rewolucji. Heł można snuć domysłów na podstawie tego zdania! Babcia nie potrafi, zasłuchana w samą siebie, nawiązać kontaktu z pozostałą częścią rodziny.

Zupełnie inną sytuację tworzy „pokolenie młodsze” — jest uwikłane w teraźniejszość, miesza skalę wartości, ocen, jego życie jest niechlujne, pospieszne i pobieżne. Jest

ale muszą milczeć. Mogą mówić po angielsku albo hiszpańsku ale muszą mówić w zupełnie innym języku.”

Jednak myśl: „Jestem winien Ojczyźnie życie, a Frankowi 300 złotych” bynajmniej nie nastawia przychylnie do tego pokolenia. Jałowość życia i owe zaśmiecanie głowy, bezczynne siedzenie i analizowanie bez końca własnej sytuacji prowadzi do powstania bariery między ludźmi. To pokolenie jest zniewolone samo sobą, własną niewiedzą i wieczną pogonią — której celu i przyczyny nie zna.

myk, będący wskazówką jak szukać odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie rodzą się po przeczytaniu „Stołu rodzinnego”.

Ostatnie wersy:

„Widzę przez okno jak grupka dzieci przebiega przez tory kolejowe w nie dozwolonym miejscu. Nawet tym się nie różnią od innych pokoleń”.

No właśnie. „Nie różnią się od innych pokoleń”. Magiczne zdanie, które przypomina o cykliczności świata. Nawiązuje do prastarego mitu o Korze i Demeter, o przemijaniu i odradzeniu się.

Bo przecież — każdy z nas odradza się. Rodzice w dzieciach widzą swoje dzieciństwo, a dziadkowie na nowo żyją w życiu swoich dorosłych dzieci. Pod warunkiem, że zostanie zachowana kolejność, że każdy człowiek będzie bogatszy choćby o pokolenie od tego, w którego życiu odrodził się. Dzieci nigdy nie odradzą się w dziadkach, ale dziadkowie odradzają się podwójnie. Ten cały cykl nabiera głębi i pełni, gdy odbywa się w rodzinie. Tam prawdziwie można uczestniczyć w cudzie ponownego przeżycia.

Bo — „stół rodzinny jest dużo większy od normalnego stołu.”

AGNIESZKA DĄBEK  
V LO w Krakowie, klasa II a

### TO NIE JEST GŁUPI WIERSZ

To nie jest głupi wiersz. Gdy przeczytałem go po raz pierwszy nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Wyglądał jak pseudoliteracki bełkot, bez ładu, bez żadnej koncepcji, bez sensu. Wydał mi się głupi, nie dostrzegłem w nim treści... Krótko powiedziałem — nie spodobał mi się wcale. Potem przeczytałem go drugi raz, a potem jeszcze jeden. Coś we mnie drgnęło. To nie jest głupi wiersz. To nie jest bezsensowny wiersz. Ten wiersz jest tragiczny.

Siedzimy, a babcia znowu twierdzi, że rewolucja przerwała jej życie sukni, która nie dokończona odeszła na front

Niedokończona suknia — młody chłopak, który mi nie szczęście żyć w niespokojnych czasach, poszedł walczyć. Wojna była straszna, każda wojna jest straszna; w wirze rewolucji, wśród prawdziwego niebezpieczeństwa, wśród prawdziwej śmierci, wśród prawdziwego strachu chłopiec nie wytrzymał nerwowo... i „Ja-

Ewa Lipska

### STÓŁ RODZINNY

Stół rodzinny jest dużo większy od normalnego stołu.

Coraz mniej takich stołów.

Siedzimy a babcia znowu twierdzi że rewolucja przerwała jej życie sukni która nie dokończona odeszła na front.

Fastygi zapewne puściły — ubolewa babcia — rozstrzelano ją.

A barszcz za stony. Morze za szerokie. Rodzina nie ma sobie nic do powiedzenia. Każdy trzyma krajobraz własny przed oczami na własny wjeżdża peron o innej godzinie. Babcia myśli: rewolucja przerwała mi życie sukni która nie dokończona odeszła na front. Fastygi puściły. Suknię rozstrzelano. Ale rewolucja zwyciężyła i tak. Portret sukni czci się teraz wszędzie.

Moda jednak się zmienia. Młodsze pokolenie myśli: mogą wypić kieliszek wódki ale muszą wypić szklankę herbaty. Mogę głośno mówić albo krzyczeć ale muszą milczeć.

Mogę mówić po angielsku albo po hiszpańsku ale muszą mówić w zupełnie innym języku. Jestem winien ojczyźnie życie a Frankowi 300 złotych.

Jeszcze młodsze pokolenie myśli: jeśli suknię rozstrzelano to babcia straciła materiał.

Kiedy siedzę przy biurku i myślę na temat rodzinnego stołu widzę przez okno jak grupka dzieci przebiega przez tory kolejowe w nie dozwolonym miejscu. Nawet tym się nie różnią od innych pokoleń.

(z tomu „Drugi zbiór wierszy”, 1970)

zniewolone. Czym? Można powiązać pewne fakty — rok wydania tomu ze „stołem rodzinnym” — 1970, wiek autorki — 25 lat i wysnuć wniosek, że zniewoliła je „komuna”, system, że wszystkiemu winne są błędy rządzących. Ale to zbyt łatwe. Sytuacja polityczna lat siedemdziesiątych na pewno powodowała, że:

„Mogę głośno mówić albo krzyczeć

Niewiele można napisać o najmłodszych osobach uczestniczących w jedzeniu barszczu. Za słonego barszczu... Dzieci żyją w tak odmiennym świecie, niż dziadkowie i rodzice, że niemożliwe jest chyba dotarcie jednych do drugich. „Strata materiału” — to jedyny wrażliwy, wyniesiony ze skrawków świata babcia.

Ewa Lipska pozornie nakreśliła obraz pełen gorczy i smutnych spostrzeżeń. Jednak jest cień nadziei. Jakiś pro-

Radość — owszem, autentyczną — z pokonania Niemców i z końca drugiej wojny światowej; że można działać już nie w konspiracji, nasz publicysta prawem kaduka, rozciągnął na całą dziedzinę państwowości. Milczkiem przy tym zawężał, zawężał, nieprawdopodobnie, pojęcie „środowiska kultury”, w którym jakoby cieszone się powszechnie i gdzie rzekomo prawie nikt nie wiedział, co się wokół święci. Przykro mi to mówić, lecz p. Lohman ograniczył się do tych jedynie, co to mogliby o sobie rzec słowami wiersza Łobodowskiego:

Niech się wał mocarstwa i trony,  
a ja znowu przy jakimś bidecie  
będę szepciem powtarzał wzruszonym  
Liberté, liberté, chérie —

Przeważająca większość społeczeństwa polskiego była jeśli nie czynnie, to przynajmniej uczuciowo związana z Armią Krajową. „Środowisko kultury” też; nie wyłączając części lewicujących. Dekret PKWN o podporządkowaniu spraw dotyczących AK sądom wojskowym Armii Czerwonej nosi datę 23 lipca 1944. Jest to najdosłowniej pierwszy dekret po Manifestie PKWN — z dnia poprzedniego. Skutki tego dekretu nie dały na siebie czekać. Porywanie i wywołanie niewygodnych nowym władzom Polaków poza obręb Rzeczypospolitej było na porządku dziennym. Jakimże sposobem p. Lohman wywnioskował (bo wiedzieć o tym z przyczyny swego wieku nie mógł), iż tylko „naprawdę nieliczne jednostki” zdawały sobie sprawę z nowej okupacji?

Odświeżmy pamięć kilkoma chociaż przypomniaściami. Kardynał Hlond w kazaniu wygłoszonym 25 XI 1945 przy otwarciu bazyliki prymasowskiej w Gnieźnie, po odczytaniu Ewangelii o fałszywych prorokach (Mat. XXIV, 23—29), przestrzegając jasno: Chrystus wola dwukrotnie: Nie wiercie. Do uwodźcili dusz trzeba się z góry odnosić nieufnie. Należy ich unikać bez względu na to, gdzie występują: czy na rynku lub w karczmie, czy na publicznym zebraniu lub zamkniętym kole, czy w biurze lub w warsztacie, czy otwarcie lub w skrytości. Bojskot kłamcy i uwodźcicielstwa powinien być zupełny i powszechny.

Wzwanie to jest chyba aż nadto wyraźne. W Krakowie — bliższym, jak się wydaje, p. Lohmanowi — było nie inaczej. Prezes Polskiej Akademii Umiejętności, Stanisław Kutrzeba, notował w swym dzienniku pod datą 28 III 1945:

### POLEMIKI

## „Liberté, liberté, chérie”

Andrzej Biernacki

W Krakowie, gdzie na przełomie lat 1945/1946, chadzał w mundurze polskiego oficera sztabowego znany literat Artur Sandauer. Jurny był i zawadiacki. Natychmiast ktoś więc ukuł porównanie: Wieniawa naszych czasów!

Anegdota ta ożyła we mnie po przeczytaniu artykułu wstępnego w ósmym numerze „Dekady Literackiej”. Są to wynurzenia p. Jerzego Lohmana pt. Smutek wolności.

Pisząc, jakie panowały w Polsce nastroje po roku 1945, autor (od siebie) zastrzega się wprawdzie, że „jednych okupantów zastępowali inni”, zarazem jednak oznajmia: „wtedy zdawały sobie z tego sprawę naprawdę nieliczne jednostki. Najmniej chyba było ich w środowisku kultury. Tu powszechnie panowała autentyczna radość i nadzieja na szczęśliwą przyszłość”.

Przecieram doprawdy oczy ze zdumienia, że tego rodzaju sąd wypowiada o autor znany ze swych rzetelnych zamięłowań historycznych. Czyżby nawrót złudzeń z reportaży zawartych w książce ku czci administracyjnych reform Gierka — Nowe szaty kultury?

Obawiam się, że właśnie tak!



strygi puścili". Ciekawa metafora — „fastrygi” — nie silny, pewny szew, który jest w stanie mocno i trwale połączyć materiał, ale fastrygi — nie do końca wpojone idee, w połowie przerwana nauka... (chłopca rozstrzelano).

(...) Ale rewolucja zwyciężyła i tak. Portret sukni eczy się teraz wszędzie"

Chłopak zginął — czy wiedział za co? — ale po pewnym czasie okazało się, że można z niego zrobić niezłego bohatera dla mas. I eczy się teraz tego chłopca, nie jako człowieka, ale jako „bohatera rewolucji”. Nikogo nie obchodzi kim był ten chłopiec, ani jakie miał poglądy, nikt nie dba o to, czy popierał rewolucję, czy nie. Ważne, że nie żyje — to dobry materiał na bohatera. Nikt nie próbuje zliczyć ilu takich „bohaterów” zostało rozstrzelanych, bo ważne jest tylko to, że „rewolucja zwyciężyła i tak”.

W tym świecie babcia, wraz z jej pozornie bezsensownym utyskiwaniem na rewolucję, przestaje być śmieszna. Nigdy nie miała taka być; nie rozumiana przez nikogo, mamrocząca coś do siebie staruszka stanowi symbol. Symbol tego pokolenia, które widziało, które pamięta i które nigdy nie zapomni. Ale pokolenie to odchodzi, staje się przeszłością, ginie...

Interesująca i — moim zdaniem — bardzo trafna jest wizja współczesnej Polski, dokładne określenie zasad życia człowieka: co mu wolno, a czego nie może, co się zaleca, a co jest zakazane.

„Mogę głośno mówić albo krzyknąć ale muszę milczeć”.

Oczywiście — mów, nawet krzycz, ale tylko to, co MY ci każemy. Możesz otwarcie komentować i wydawać opinie, ale muszą to być NASZE opinie. Ty, sam — jesteś niczym.

Mogę mówić po angielsku albo po hiszpańsku, ale muszę mówić w zupełnie innym języku

Jasne, wolno mi się uczyć innych języków (tu mam pełną (!) swobodę), ale ten jeden obcy język muszę znać obowiązkowo. W imię przyjaźni... Niech Bóg broni od takiej przyjaźni!

Kompletny marazm. Beznadziejny zastój w nicości powszedniego dnia. Szare, zaklamane życie; wielkie rzeczy pomieszane z małymi i wielkie idee z pustymi sloganami.

„Jestem winien ojczyźnie życie a Frankowi 300 złotych”

Coś komuś jestem winien —

to mi od dzieciństwa wmawiają, ale co? Komu? Za co? W końcu, co to za różnica czy ojczyźnie, czy Frankowi i czy trzysta złotych, czy życie... Wszystko to dla mnie tyle samo warte...

„Jeśli suknię rozstrzelano, to babcia straciła materiał” — bardzo trafne określenie młodego pokolenia, myślącego, czującego, postrzegającego innymi kategoriami, oceniającego według innych kryteriów. Pokolenia, które już nie jest w stanie zrozumieć owej „babci”, bo zbyt długi okres, zbyt wiele kłamstw oddziela je od tamtych wydarzeń. Bo nie widziało tego na własne oczy i dlatego nigdy nie będzie mogło w pełni tego pojąć... Ja należe do tego pokolenia.

Najciekawsza jednak jest ostatnia zwrotka. Scena przebiegających przez tory dzieci, które „Nawet tym się nie różnią od innych pokoleń” jest jakby kwintesencją myśli zawartych w wierszu — obecny świat jest zaklamany, bezsensowny, zły. Ale świat zawsze takim był. Zawsze sprytniejsi rządząli mniej zaradnymi, zawsze mocniejszy wyżył słabszego — to są rzeczy normalne. Ale zawsze, w każdym czasie i w każdej epoce istniała grupa ludzi, którzy potrafili się sprzeciwić, nawet łamiąc prawo — dzieci, przechodzące przez tory w niedozwolonym miejscu.

To nie jest głupi wiersz. Zawiera bowiem w sobie rzecz często obcą lirycy — prawdę. Prawdę o tym, że wielkie wydarzenia najbardziej uderzają małych ludzi, ale również, że nie ma wielkich wydarzeń bez udziału właśnie tych małych ludzi. A także to, że zawsze są „dzieci”, które przechodzą przez tory w „niedozwolonym miejscu”.

Dlatego myślę, że to nie jest głupi wiersz.  
MICHAŁ NAWROCKI  
IV LO w Tarnowie, klasa II

### TYLKO BABCIA PAMIĘTA

Postać babci z pierwszej zwrotki — to postać — symbol. Kogo i czego — zapytasz? Symbol przemijającej świadomości, określonego sposobu myślenia, patrzenia na świat i życie, odbierania jego problemów — odpowiem — bo tak myślę. Powiesz wtedy: „Ale skąd wzięłaś tak absurdalny wniosek? Na podstawie tej niedokończzonej sukienki?” — a ja odpowiem ci: „Tak, właśnie tak!” Na podstawie tej niedokończzonej sukienki, która właśnie taka nie inna odeszła na front...

Ten właśnie fakt jest, moim zdaniem, główną przyczyną, dla której postać-symbol martwi się. Ból sprawia

jej świadomość, że na podstawie tego, co się stało nikt już jej nie zaufa, nikt nie doceni żadnej jej pracy — zawsze będzie się ją uważało za złą i niedokładną. Warto teraz zapytać jak wiele ludzi myśli w ten sposób? Najprawdopodobniej jest ich mało. Większość bowiem uważa, iż czas miniony, dokonane w nim czyny w niewielkim stopniu rzutują, odbijają się w teraźniejszości.

„A barszcz za słony. Morze za szerokie” — tak zbyt słone i niemile, zbyt gorzkie i trudne stają się problemy innych. Tyle przecież swoich jest na głowie, a tu ludzie przychodzą i żalą się na świat!

Już nawet rodzina nie znajduje wspólnego języka, kasa się jak zatrute jadem stworzenia. Zamknięci sterylnie w kapsułach własnych prywatnych spraw a jakże? Zatópieni w szarość dni, szablonu sytuacji — zapominają o sobie nawzajem, zapominają o życiu. Egzystują każdego dnia, sprawdzając swoje możliwości bycia lepszym od innych. A wśród nich właśnie ona — babcia, ze swoimi monotonnymi ubolewaniami.

To nie, że suknią została rozstrzelana, to nie, że nie przydała się nikomu, to nie, że puścili fastrygi — REWOLUCJA ZWYCIĘŻYŁA — i to pozostało najważniejsze. Ale zaraz — dlaczego eczy się portret sukni? Przecież ją rozstrzelano, przecież była niedokończona, przecież była zła! Fałsz i zaklamanie podstępnie wdary się do rzeczywistości, zdominowały jej swoją obecnością, przekreśliły jej prawdziwy byt! Babcia przecież wiedziała, że suknią nie była dobra, że źle ją uszyła — ona jedna ma świadomość, że ideał jest pozorny i zaklamany. Ona nie zapomni...

Lecz w swojej pamięci pozostanie niestety samotna. Przyjdą inne czasy, będzie istniała inna świadomość, inna mentalność. Przyjdą też inni ludzie, młodsze pokolenie będzie myślało inaczej. Na fali nowej mody, przystosowania kulturowego, nowych osiągnięć nauki i techniki wkroczy ono w inny świat, w którym moralność, etyka także dostosuje się do potrzeb chwili, do wymagań czasu.

MONIKA KITA  
IV LO w Krakowie, klasa IV

### TRAGICZNA IRONIA

Wiersz E. Lipskiej „Stół rodzinny” porusza problem zawsze aktualnego konfliktu generacyjnego, a konkretnie różnic w pojmowaniu świata i historii przez przed-

stawicieli różnych pokoleń jednej rodziny.

Wiersz rozpoczyna się opisem: „Stół rodzinny jest dużo większy / od normalnego stołu”. / Już ten pierwszy wers, szczególnie w odniesieniu do dalszej części wiersza, sugeruje obrazowanie w dwóch płaszczyznach: stół rodzinny jako mebel dużych rozmiarów, będący w stanie pomieścić wokół siebie kilkupokoleniową rodzinę i stół — jako „miejsce” zętknięcia się wielu ludzi, a tym samym odmiennych racji i idei.

Obraz rozpadu rodzinnych powiązań nabiera szczególnie magicznego wyrazu, gdy przypomnimy sobie, że dokonuje się on przy „rodzinnym stole” utrwalonym w naszej świadomości jako symbol jedności. Ten kontrast ma jednak służyć konsekwentnemu obalaniu mitu.

Taką samą funkcję pełnią przemyślenia osób znajdujących się przy stole. Myśli te odnoszą się do sprawy rewolucji i wyrażają stosunek do niej „babci”, „młodsze pokolenia” i „jeszcze młodsze pokolenia”. Znalazienie wspólnego poglądu na to (historyczne już w chwili spotkania przy stole) wydarzenie jest niemożliwe. Dla babci rewolucja to doświadczenie jej własnego życia: „(...) rewolucja przerwała mi / życie sukni, która nie dokończona / odeszła na front (...)”. Stosunek babci do rewolucji to bynajmniej nie zaangażowanie ideowe, ale całkiem proste podejście, takie trochę „matczyne”: „Fastrygi zapewne / puścili” — ubolewa babcia — rozstrzelano ją”. Niemniej babcia potrafi docenić wartość rewolucji i godzi się na poświęcenie „sukni” dla generalnego zwycięstwa: „suknię rozstrzelano ale rewolucja / zwyciężyła i tak. Portret sukni / eczy się teraz wszędzie”.

Dla najmłodszego pokolenia

rewolucja nie ma żadnego znaczenia: „jeśli suknię rozstrzelano to babcia / straciła materiał”.

Z kolei postawa pokolenia „młodsze” jest całkowitym pójściem na kompromis. W przeciwieństwie do najmłodszych, którzy nie liczą się z żadną konwencją ani tradycją, i babci, pogodzonej z historyczną koniecznością, a nawet do niej przekonana, oni cały czas idą na ugodę ze światem wbrew własnym chęciom i przekonaniom: „Mogę głośno mówić albo krzyknąć / ale muszę milczeć / Mogę mówić po angielsku albo po hiszpańsku / ale muszę mówić w zupełnie innym języku”.

Konformizm doprowadza ich do utraty wartości i rozerwania w tym, co rzeczywiście ważne lub nie, a nawet do cynizmu. „Jestem winien ojczyźnie życie a Frankowi / 300 złotych”.

Wiersz jest interesujący nie ze względu na poetykę, bo poetka posługuje się prostym, potocznym językiem „pozbawionym metaforyki, ale ze względu na głębię refleksji i sposób obrazowania. Konfrontując tekst z tytułem, może dąłoby się zauważyć ironię, a może nawet ironię tragiczną — niemożność porozumienia pomiędzy zupełnie odmiennymi, słusznymi racjami. Tytułowy „stół rodzinny” dodaje utworowi tragicznej wymowy, ukazując kontrast między jego zakorzenionym w naszej świadomości znaczeniem: wspólnoty, ciepła, zrozumienia, a faktycznym podziałem, którego jest on wyrazem w rzeczywistych stosunkach międzyludzkich.

MAGDALENA BOKSA

VI LO w Krakowie, klasa IVa

### OLA (PAULINA) WATOWA 1903—1991

W Paryżu zmarła Ola Watowa, wdowa po Aleksandrze Wacie. Dzieliła wraz z mężem całe Jego życie, zarówno to literackie jak zesłańcze. Dzięki Jej wielkiemu trudowi edytorskiemu możemy dziś czytać zarówno „Nasz wiek” jak inne pisma Aleksandra. Była jednym z ostatnich świadków dwudziestolecia, osobą fascynującą i pełną miłości do literatury.

Zespół „Dekady Literackiej”

Metropolita podniósł sprawę wolności prasy; „Tygodnik Powszechny” wydawany pod jego auspicjami natrafia na trudności cenzury i co do papieru. Podniesiono sprawę aresztowań, że należałoby przyspieszyć badania, by niewinni nie siedzieli w więzieniach itd. Podjąłem się napisania z Lehrem memoriału, który byśmy wręczyli wojewodzie, by go wręczył Prezydentowi Bierutowi.

Memoriał ten powstał. Podpisali go prezes Kutrzeba, rektor UJ Lehr-Spiewiński i książę-metropolita Sapieha. Ale wojewoda Ostrowski bał się z piśmem takim jechać do Belwederu! „Zaproponował, byśmy je sami zawieźli, że da nam auto, benzynę.” (Notatki profesora Kutrzeby cytują za rozprawą ks. Jerzego Wolnego: Ostatnie lata działalności kościelnej Adama Stefana Sapiehy).

Wydaje mi się, że ostra to migawka usposobienia, w jakim się wówczas znajdowali prawdziwi luminarze polskiej kultury.

A dodać by można wiele. Ot, chociażby bezprzykładne (w sierpniu 1945 r.) ataki „Głosu Ludu” i „Rzeczypospolitej” na Polską Akademię Umiejętności. Stanisław Kutrzeba odpowiedział pismakom artykułem-broszurą W odronie spotwarzonej instytucji: go druku tej odpowiedzi nie doszło, złamana korekta jest w Archiwum UJ (sygnatura D-XXIV-1: bardzo polecam!).

Niewiele później Władysław Konopczyński przemawiając w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego (26 I 1946) wypowie — słynne już słowa:

Słuchać żądanie, aby nauka służyła życiu. Owszem, niech służy, czym może, niech mu przyświeca. Ale niech się nie występuje.

Nieostrożność definicji „środowisko kultury” napawa mnie uzasadnionym niepokojem, że p. Lohman może się obruszyć, gdy wspomnę o ziemianstwie. Rola tej warstwy społecznej w odniesieniu zwłaszcza do poczynań oświatowych nie była jednak zaprzeczana przynajmniej na wsi. Ostatnio, podczas swej kampanii wyborczej, uznał to za stosowne oświadczać nawet p. Barteszcze. Może więc będzie nie całkiem od rzeczy uprzytomnić p. Lohmanowi (i przy sposobności innym, młodszym — też), jak władze uznające tzw. rząd lubelski odnosiły się do osób wywłaszczanych wedle przepisów Manifestu PKWN.

Pan Tadeusz Chwalibóg (z Mysłowa koło Zelechowa) był kiedyś laskaw użyć mi fragmentów rękopisu swego pamiętnika, którego — kto ciekawy — całość przechowuje córka Autora, znana dnia aktorka. Przytoczę relację, której wymowę niechaj osądzić zechce sam czytelnik:

Abym nie był gołosłownym — podaję listę znajomych i krewnych, którzy podli ofiarą terroru i bezprawia już w pierwszym roku „po wyzwoleniu”. Lista ofiar, późniejszych kłamliwych oskarżeń i fingowanych procesów byłaby znacznie dłuższa. Stefan Bukowski, właściciel majątku Władysławowi (mój brat cioteczny) zastrzelony przez funkcjonariusza UB. Jerema Budzyński, podchorąży AK, wnikł sziada W. Biernackiego, z Wólki Domaszewskiej, zastrzelony w czasie ujawniania się przez żołnierza armii sowieckiej. W. Majewski, właściciel majątku Niedźwiadka, sąsiad, zastrzelony przez funkcjonariuszy UB. Janusz Noweński, syn właściciela majątku Boczek, oficer AK, zastrzelony przez żołnierzy sowieckich. „Ostoja”, komendant AK obwodu Stoczek Łukowski, zastrzelony przez funkcjonariusza UB. Wanda Thugutt, koleżanka z SGGW, zastrzelona w siebie w majątku przez funkcjonariusza UB, brat jej Bogdan wywieziony na Syberię. Są to jedynie ludzie z kręgu krewnych i najbliższych znajomych.

Zbyt doświadczonym publicystą jest p. Jerzy Lohman, ażeby w jego artykule były twierdzenia same nieprawdziwe. Dlatego — zwłaszcza jako wstępniak w „Dekadzie Literackiej” — wydał mi się Smutek wolności wręcz niebezpieczny: młodzi gotowi uwierzyć! Korzystam tedy z redakcyjnego zaproszenia do dyskusji i zgłaszam się ze swoim przyczynkiem.

Zanim skończę, winienem przyznać, że pytanie, skąd p. Lohman pobrał swoje wnioski na temat uczuć inteligencji polskiej w kraju po roku 1945 — że więc pytanie owo tylko z umyślnego mego niedomówienia wygląda na retoryczne. W istocie mam odpowiedź gotową, jasną, trochę może i żartobliwą (gorzki to żart), lecz — jak mniemam — trafną:

— Ależ tak! Źródłem natchnienia p. Lohmana stało się intermedium Miazgi Andrzejewskiego, noszące kłamliwy tytuł: Zyciorysy Polaków.



# Spiewnik ocalony

Andrzej Nowakowski

Nieco żartobliwie rzec by można, że ostatnie pół roku na polskim rynku księgarskim to festiwal rozmaitych Forsythów, Ludlumów, MacLeanów oraz... Andrzeja Romanowskiego. Nie minęło sześć miesięcy od ukazania się monumentalnego — bez przesady — dzieła, jakim są *Skrzydlate słowa* (opracowane przez Romanowskiego i Henryka Markiewicza), a krakowski „Znak” wydał zbiór szkiców o poezji i pieśni patriotyczno-wojennej lat 1908—1918 pt. „Przed złotym czasem”, natomiast „Czytelnik” — dwutomową antologię zatytułowaną *Rozkwitły paki białych róż... Wiersze i pieśni z lat 1908—1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*. Już same tytuły dwóch ostatnich pozycji wskazują, że dzieła te dopełniają się nawzajem, co w sumie budzi pewien żal, że nie ukazały się one w jednym wydawnictwie i w jednej szacie graficznej. I naprawdę nie chodzi tu o to, że dzięki temu ładniej prezentowałyby się na regale... No, ale nie jest to problem na tyle istotny, żeby z tego powodu rozdzierać szaty. W końcu sam autor ma tu głos decydujący; z jego perspektywy — niech mi łaskawie wybaczy tę uszczypliwość — może lepiej mieć na koncie dwie pozycje książkowe zamiast jednej. Znacznie większy żal, że prace Romanowskiego nie ukazały się na rynku księgarskim przynajmniej parę lat wcześniej! Zgubne skutki długiego cyklu wydawniczego spowodowały, że w jakiejś mierze rozminęły się one z momentem największej emocjonalnej chłonności społec-

nej na dzieła penetrujące zakłębione do niedawna rewiry polskiej historii i kultury. Nie zmienia to wszakże faktu, że polska historia literatury czy — szerzej — historiografia wzbogaciła się o pozycje wybitne, odkrywające przed nami obszary narodowej kultury niemal całkowicie zaszypane piaskiem zapomnienia. Jakkolwiek patetycznie to zabrzmiał trud Romanowskiego jest spleceniem długu niejednego, myślenie, pokolenia wobec tej — być może — ostatniej — generacji Polaków, dla której pojęcia „Polski”, „wojny” i „wojska” zakreślały pewien obsesyjny horyzont wartości nadrzędnych i uniwersalnych zarazem. Jeżeli przyjąć za trafną tezę autora, że „*poezja patriotyczna lat 1908—1918 jest ostatnim ogniem polskiej poezji powstańczej, zainicjowanej literaturą konfederacji barskiej*”, to prace Romanowskiego stanowią w jakiejś mierze domknięcie tych refleksji historycznoliterackich, które w sposób wyinkowy, marginesowy i nie- rzadko mało kompetentny już wcześniej ogniskowały się wokół polskiej literatury patriotycznej, wyrastającej z romantycznego etosu naszej kultury. Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu, że tym, co szczególnie zwraca uwagę, jest właśnie kompetencja Romanowskiego. Wyrasta ona w równej mierze ze znużających, wieloletnich studiów i badań źródłowych, jak i jednocześnie z nieskrywanej przez autora... namiennej miłości do tego świata prostych i czystych patriotycznych uniesień, wyrażanych często prostą i czystą formą literackiego kiczu. Pisze Romanowski we wstępie do swej

antologii: „*Zdmuchiwaniem kursu z grzbietów, rozczaiłem pożyczki kartki. I tak wkroczyłem w zaczarowany świat wierszy o ulanach spod Rokityny i strzelcach spod Łowczówka, o żołnierzach walczących w tajgach Sybiru i w „Błękitnej armii” nad Sekwaną, o wiarusach karpaccich i bojownikach wołyńskich. Zrozumiałem wtedy, że jest to także świat moich dziadów, którzy prosto spod ojcowskiej strzechy zaciągnęli się do Legionów jakby dla udokumentowania kościuszkowskiego hasła „Żywią i bronią”. Emocjonalny ładunek, wyrażony w tych słowach, jest wyraźnie obecny „między” utworami owej antologii, co w ostatecznym rozrachunku sprawia, że paradoksalnie informacja na karcie tytułowej: „Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski” nie w pełni jest precyzyjna. Po prostu — Romanowski tę antologię „NAPISAL”!*”

Antologię Romanowskiego czytać można w dwóch niezależnych porządkach. Z jednej strony — jako „literaturę”, ale wówczas z pełną świadomością, iż są to utwory najczęściej (choć i z wyjątkami!) wtórne, epigońskie, nie- rzadko nieporadne i po prostu kiczowate. Z drugiej zaś — jako zapis i dokument świadomości patriotycznej i politycznej pokolenia, które tę literaturę tworzyło. Dla autora, jak się wydaje, zdecydowanie istotniejsza jest owa druga perspektywa. Inaczej rzecz ujmując: antologia ta ułożona została bardziej przez historyka

idei, doktryn i myśli politycznych niż przez historyka literatury. Naturalnie Romanowski jako historyk literatury czuje się niejako w obowiązku bronić estetycznych wartości prezentowanych utworów, ale... wyraźnie widać, że ma z tym niejaki problem. Właśnie jako historyk literatury ryzykuje bardzo, kiedy powiada: „*prze- glądane przeze mnie tomiki zawierają zazwyczaj literaturę drugiego rzutu, wtórną, epigońską bądź kiczowatą. Cóż jednak bardziej emocjonuje i wzrusza... niż kicz? I cóż bardziej niż kicz ma szansę przemówić do najszerszych kręgów społecznych?*”. Mówiąc ogólnie, to jednak zbyt przesadne dowartościowanie kiczu jako zjawiska estetycznego. Nie jestem pewien, czy nawet tak wzruszające (i literacko dobre!) utwory jak *Przybyli ulani pod okienko* czy *Rozkwitły paki białych róż* przemawiają większymi pokładami emocji niż — powiedzmy — *Inwokacja z Pana Tadeusza*. Myślę wszakże, że nie można tu generalizować i w sposób prosty kwalifikować tę poezję jako artystycznie dobrą lub złą. Była ona po prostu różna, przy czym w zasadniczej większości były to kicze i nie ma powodu, żeby ten sąd w taki czy inny sposób łagodzić. Jest to jej uniwersalna cecha, pozostająca poza sferą estetycznych ocen. Gdy Romanowski powiada: „*w ówczesnej rzeczywistości poetyckiej kicz sąsiadował z arcydziełem, chciałem, aby tak samo wyglądało to w tej antologii*” — to przemyślenie sugeruje, że jednych i drugich jest po równo! No nie, po równo nie jest, bo być nie może.

Jak można mniemać, autor Antologii w gruncie rzeczy zdaje sobie sprawę, że podział tej literatury na „wysoką” i „niską” jest w tym przypadku mało płodny. Najważniejsze punkty odniesienia u-

zytuowane są poza estetyką. Tkwią głęboko w nurcie przemian politycznych dziesięciolecia 1908—1918. Stąd też wiersze te w pierwszym rzędzie są dla autora poetyckim SWIADECTWEM i DOKUMENTEM owych przemian. W przedmowie do „Przed złotym czasem” pisze zresztą wprost: „*nie o sztukę artystyczną tutaj chodzi. Bardziej interesujący wydał mi się natomiast program społeczno-polityczny utworów, które w tylu wypadkach pełniły również funkcję agitacyjną*”. Ta strategia myślenia stoi u podstaw kompozycji antologii. Jak pisze Romanowski w jej wstępie: „*Wiersze legionowe będą sąsiadować z endecykami, aktywistycznymi i pasywnistycznymi, tytejskimi z pacyfistycznymi, nacjonalistycznymi i internacjonalistycznymi*...” itd. W sposób przekonujący autor tłumaczy, dlaczego właśnie wspomniane lata 1908—1918, z wewnętrzną cezurą roku 1914, wyznaczają daty graniczne zbioru. W efekcie czytelnik otrzymuje do rąk dzieło szczególne, które (jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmiało) mógł opracować tylko literaturoznawca — co prawda starający się dochować wierności swej dziedzinie, ale jednocześnie zawierające flirtujący z historią myśli i idei politycznych. I bardzo dobrze! Nikt inny bowiem nie byłby w stanie obdarzyć nas opracowaniem tak rzetelnym i tak pełnym fascynacji i miłości do niezbyt przecież odległej przeszłości narodowej, „zapisanej” w wierszach i pieśniach.

Rozkwitły paki białych róż... Wiersze i pieśni z lat 1908—1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach. T. 1—2. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa 1990, „Czytelnik”.  
ANDRZEJ ROMANOWSKI: „Przed złotym czasem”. Szkice o poezji i pieśni patriotyczno-wojennej lat 1908—1918. Kraków 1990, „Znak”.

# Stan wojenny według Bocheńskiego

Maciej Urbanowski

Akcja „Stanu po zapaści” Jacka Bocheńskiego rozgrywa się w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Narrator, pisarz, po trosze działacz opozycji, przebywa w szpitalu. Jest chory na serce. „Stan po zapaści” jest rodzajem notatnika czy też, jak go określił narrator, dziennika szpitalnego, rejestrującego na gorąco życie szpitala. Pełno w nim cytatów z codzienności pacjentów — rozmów, fragmentów gazet, audycji radiowych. Bocheński tworzy bowiem w swojej książce kolejną wersję rozmów polskich początku lat osiemdziesiątych, portretujących stan świadomości Polaków tego okresu.

Wszakże szpital to polski mikrokosmos, gdzie spotyka się profesor i salowa, działacz opozycji i milicjant, ksiądz i komunista. Czytelnik szybko jednak przekonuje się, że dla narratora powieści szpital ma wymiar bardziej uniwersalny — „*Tak tu wszyscy, myślę, albo jęczymy, dławimy się, albo śpimy. Nic dziwnego, a co mamy robić, bezwolni jesteśmy, bezsilni, to szpital. Szpital i komunizm. (...) Zamknięci jesteśmy w szpitalu i komunizmie*”. „Stan po zapaści” podejmuje więc solżenicynowską metaforę „*Oddziału chorych na raka*”. Chore społeczeństwo komunizmu jest społecznością szpitala. Komunizm to rak,

stan wojenny to stan zapaści, choroba atakująca organizm i umysł, pogrążająca go w chaosie i bolesnym „szumie”. Narrator rejestrujący dyskusje pacjentów próbuje dokonać analizy przyczyn i stanu tej choroby, w historii i we współczesności, na poziomie politycznym, religijnym i społecznym. Chora jest powojenna Polska, „chora” jest narracja książki Bocheńskiego. Imitująca pospiesznie, dorywczo pisane notatki, pełna jest niepokoju, dysharmonii, niespójności, swoistego szumu wątków, które często są zaledwie zarysowane, nie dokończone i urwane. Przyjęta przez Bocheńskie-

go konwencja dziennika szpitalnego tłumaczy też różnorodność, sprawiającą czasem wrażenie chaosu — fragmenty artykułu politycznego obok szpitalnych plotek, rozważań o Bogu, uwag o stanie lecznictwa w PRL. Swoisty też jest język „Stanu po zapaści” — zbliżony maksymalnie do kolokwialnego, prosy, czasem wręcz kaleki. Także ten język współtworzy portret Polaków. Najnowsza powieść autora „*Boskiego Juliusza*” budzi rozbieżne reakcje. Interesująca we fragmentach, prawdziwa w obrazie społeczeństwa lat osiemdziesiątych rozczarowuje w całości, zwłaszcza czytana dzisiaj. Najcie-

kawszy zapewne autoportret głównego bohatera, intelektualisty dotkniętego szlachetnym syndromem opozycji, tropiacego w szpitalu agentów SB, czytającego w ukryciu „Tygodnik Mazowsze” jest bardzo prawdziwy, a jednocześnie w pewnym sensie karykaturalny. Wiele bowiem w „*Stanie po zapaści*” niepotrzebnego reportażu, publicystyki, która z dziesiętym punktu widzenia nuży, czasem irytuje swą szlachetną, ale banalną retoryką i patosem. Stąd też zapewne wynika wrażenie, że powieść Bocheńskiego grzeszy w niektórych partiach zbyt gwałtownym gadulstwem. Jak więc się wydać, wciąż czekamy na powieść o Polakach stanu wojennego. Czy jest ona możliwa?

JACEK BOCHEŃSKI: STAN PO ZAPAŚCI, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990.

# Literatura Belgów

Ryszard Siwek

Z uznaniem odnotować należy ukazanie się kolejnej pozycji w serii prezentującej historię literatury europejskich. Wydana pod koniec ubiegłego roku, nakładem Ossolineum, przy finansowym wsparciu belgijskiego Ministerstwa Wspólnoty Fran-

cuskiej, „*Historia francuskojęzycznej literatury Belgów*” jest pierwszym, całościowym opracowaniem tej literatury w Polsce. A jest to piśmiennictwo znaczące choć mało znane. Językowa wspólnota z Francją sprawia, że wielu wybit-

nych twórców belgijskich, z chwilą ich paryskiej konsekracji, automatycznie i niejako mimowolnie, przyczynia się do umniejszenia własnego, narodowego piśmiennictwa. Ono natomiast, właśnie z racji bliskości i rangi Paryża, postrzegane jest jako prowincjonalne i ubogie. I choć rzeczywistość prowincjonalizm, a nawet zaściankowość wyznaczają jeden z ważniejszych nurtów literatury Belgów — powieść regionalną — to przecież jej nie wyczerpują. O randze ich literatury decydują bowiem takie arcydzieła, zwłaszcza z przełomu XIX i XX wieku, które ustanawiając nowe wzorce estetyczne, będąc podówczas inspiracją dla innych, na stałe weszły do kanonu literatury światowej (De Coster, Maeterlinck, Ghelderode i in.)

oraz takie zjawiska artystyczne, które nadają jej indywidualne, oryginalne piękno — realizm magiczny na przykład. Jest to literatura, u której podłoża legł mieszczańsko-plebejski charakter tradycji, wyrażająca upodobanie do skrajnego realizmu na równi z wybujałą fantastyką. To literatura zdająca się nawiązywać bezpośrednio do wrażliwości i temperamentu emanujących z płóciń Boscha czy Breugla, literatura, której ducha uosabia Dyl Sowizdrzał. Niktą czy wręcz żadną wiedzą polskiego czytelnika na temat zagmatwanych dzieł Belgów, dzieł przez stulecia rozmywających się w historii sąsiadów — państwowość Królestwa Belgii wyznacza rok 1830 — skłoniła autora do napisania obszernego, history-

cznego wstępu. Pozwala on lepiej zrozumieć skomplikowany charakter stosunków, zależności i uwarunkowań zewnętrznych i wewnętrznych literatury małego narodu usilnie poszukującego własnej tożsamości, posługującego się językiem nie zawsze uznawanym za własny. Książka potrzebna, interesująca i przystępnie napisana przez Jerzego Falickiego, najwybitniejszego znawcę tematu, wypełnia lukę w polskim piśmiennictwie, stanowi zarazem uzupełnienie do wydanej już wcześniej historii flamandzkojęzycznej literatury Belgów.

JERZY FALICKI: Historia francuskojęzycznej literatury Belgów — Zarys, Ossolineum 1990.



# KGB — ukryta ręka (XIII)

John Barron

Publikujemy ostatni fragment głosnej na Zachodzie pracy Johna Barrona o działalności KGB. Książka — tłumaczona przez Barbarę Sławomirską i Andrzeja Nowaka — jest obecnie przygotowana do wydania przez Wydawnictwo Literackie.

Kiedy w roku 1978 Arkady Szewczenko porzucił wysokie stanowisko podsekretarza generalnego ONZ i uzyskał azyl w Stanach Zjednoczonych, Związek Radziecki zażądał, by zastąpił go inny Rosjanin. Jego następcą został generał KGB, Michail Sytenko.

Jako nadzorca międzynarodowej grupy pracowników cywilnych w siedzibie głównej ONZ, oficer KGB Dnieprowski posyłał ludzi tam, gdzie akurat potrzebowali ich Rosjanie, i faworyzował tych, którzy chętnie słuchali Związku Radzieckiego. Kilku zdrajców zdemaskowało go, a i sami Rosjanie uważają go za aroganckiego i apodyktycznego biurokrata. Pomimo to w 1978 roku ONZ mianowała „pułkownika Dnieprowskiego”, jak go się tam powszechnie nazywa, dyrektorem personelu w Genewie, gdzie obecnie pomaga on obsadzać biura ONZ oficerami KGB.

Jurij Pawłowicz Czestnoj, po odbyciu służby w rezydencjach Hawany i Buenos Aires, zajmując się teraz propagandą, mając stałe stanowisko w Komisji Ekonomicznej ONZ w siedzibie w Genewie. Choć pozornie jest sympatyczny, Rosjanie boją się go, gdyż zwyki ich prowokować antysowietkimi żartami, a następnie donosić na tych, którzy się z nich śmieją.

Walery Pawłowicz Jewstigniejew przybył do Genewy jako tłumacz, lecz KGB umieścił go we wspólnej jednostce nadzoru. Starszy tłumacz Władimir Iwanowicz Lemiesz specjalizował się w akcjach bezpośrednich jako funkcjonariusz linii PR w rezydencji w Genewie. Igor Guriew, pierwszy sekretarz Misji Radzieckiej, koncentrował się głównie na kradzieży technologii. Będąc pozbawionym jakiegokolwiek oglądu piątkiem, jest jednak wytrwałym i skutecznie działającym oficerem, mającym wieloletnie doświadczenie w dziedzinie szpiegostwa naukowo-technicznego.

W Nowym Jorku oficer KGB, Władimir Nikołajewicz Orłow, jest dyrektorem biblioteki ONZ już od 1979 roku. Jako taki, na koszt ONZ zamawia mikrofilmy publikacji rządowych i zapisów archiwalnych z całego świata, a następnie, również na koszt ONZ, kopiuje je dla KGB.

Grupa oficerów KGB nieustannie zabiega o przekształcenie ONZ w instrument polityki sowieckiej, chcąc w ten sposób narzucić światu

wygodne sobie poglądy. Czasami odnoszą dość istotne sukcesy. Na przykład 14 października 1982 roku Wspólna Komisja ONZ ds. Informacji wydała dwunastostronicowy „raport”, obwiniający prasę zachodnią o szarganie reputacji Narodów Zjednoczonych, przedstawiając ONZ jako „zupełnie nieistotną, nieefektywną i stoczoną przez biurokrację”. Oświadczenie głosiło natomiast, iż w przeciwieństwie do tych „nader tendencyjnych doniesień” dziennikarzy zachodnich korespondenci ze Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych inspirowali do „udzielania nieustannego poparcia ONZ ani jednego przykładu niewłaściwych na własnym gruncie”. Choć nie podano doniesień w wydaniu prasy zachodniej, oświadczenie Komisji ds. Informacji proponowało radykalne rozwiązanie problemu: należy przyznać na ten cel większe fundusze i zatrudnić większą liczbę publicystów, którzy przedstawiają ONZ we właściwym świetle.

Oficerowie z rezydencji w Nowym Jorku przy każdej okazji starają się zjednać sobie wpływowym Amerykanów, i przy pomocy subtelnych zabiegów ukierunkowywać ich tak jak należy. Siergiej Paramonow, przystojny, czarujący pierwszy sekretarz Misji Radzieckiej dostarcza typowego przykładu podobnych manipulacji.

Paramonowa interesuje przede wszystkim pokój, toteż dla wsparcia porozumienia między narodami pomaga wybrany Amerykanom w przedsięwzięciu podróży do Związku Radzieckiego. Carol Pendell, inteligentna i energiczna Kalifornijka, również jest za pokojem i przyjaźnią między narodami. Jego przewodniczący Międzynarodowej Ligi Kobiet na Rzecz Pokoju, a także Amerykańsko-Radzieckiego Komitetu na Rzecz Dialogu Obywatelskiego, odwiedza zarówno ONZ, jak i Związek Radziecki, by propagować tam swoje idee. Stąd też Paramonowa i panią Pendell winna zbliżyć do siebie wspólnota poglądów, winni się też spotykać i konsultować wzajemnie.

Carol Pendell oczywiście nie zdaje sobie sprawy, że Paramonow jest oficerem KGB, przydzielonym do manipulowania organizacjami pozarządowymi, takim jak te, na czele których ona stoi. Stąd też stanowczo odrzuca jakiegokolwiek sugestie, że obie reprezentowane przez nią organizacje nieświadomie popierają interesy radziec-

kie ze szkodą dla USA. A jednak stanowisko Związku Radzieckiego i Ligi Kobiet (WILPF) bardzo często są zbieżne.

WILPF na przykład orędowniła za likwidacją baz wojskowych za granicą, za zerwaniem sojuszy wojskowych, zaprzestaniem produkcji broni nuklearnej i zniszczeniem jej istniejących zasobów. Namawia również do „publicznej własności źródeł bogactwa”. Amerykańska sekcja WILPF nawiązała — według jej własnych słów — „słone i przyjazne więzy” ze Związkiem Radzieckim, stwarzając jeszcze „edną fasadę dla propagandy i tajnych akcji. Departament Stanu USA zaklasyfikował w roku 1982 ligę jako „jedną z nominalnie niezależnych organizacji, które jednak kontrolowane są przez Sowieców”.

Dzięki ONZ oficerowie KGB mogą utrzymywać także tajne kontakty z Komunistyczną Partią Stanów Zjednoczonych, przekazując jej instrukcje oraz pieniądze. Komunistyczna Partia USA istnieje niemal wyłącznie dzięki sekretynemu subsydiom radzieckim, które obecnie sięgają w przybliżeniu sumy dwóch milionów dolarów rocznie. Oficerowie KGB przekazują tę gotówkę w czasie ukradkowych spotkań z członkami partii, czyniąc to zazwyczaj na terenie Nowego Jorku. Natomiast z jej przywódcami KGB porozumiewa się w czasie zarówno tajnych, jak i jawnych spotkań osobistych.

Choć lieźebnie niewielka i tylko przez niewielu traktowana poważnie, Komunistyczna Partia USA dostarcza rzeszy zdyscyplinowanych aktywistów bezwzględnie oddanych Związkowi Radzieckiemu. O ich skuteczności może świadczyć rozpatanie akcji protestów przeciwko polityce USA w Salwadorze, dlatego też KGB bardzo się o nich troszczy. Komunisty stoją również na czele Amerykańskiej Rady Pokoju, będącej filią Światowej Rady Pokoju.

W jednej ze swych wczesnych akcji CISPES (Komitet Solidarności z Narodem Salwadoru) rozpowszechniał wyrafinowane fałszerstwo, opatrzone tytułem: „Odmienny pogląd na kwestię Salwadoru i Ameryki Środkowej”. Druk ten wyglądał dokładnie tak, jak dokument dostępny dla tych pracowników Departamentu Stanu, którzy nie zgadzają się z daną linią polityczną. Anonimowi autorzy stwierdzali tam, że reprezentują poglądy szeroko rozpowszechnione w Departamencie Stanu, Obrony i w licznych kręgach amerykańskiej inteligencji. W sumie, anonim ostrzegł, że dalsze popieranie przez rząd USA w Salwadorze skończy się klęską wymagającą interwencji w Ameryce Środkowej.

Falserstwo to tak dalece sprawiło wrażenie autentyczne, że „New York Times” z 6 marca 1981 roku opublikował artykuł oparty na tym opracowaniu. Jednakże w trzy dni później autorka artykułu, Flora Lewis, stwierdziła, że została wprowadzona w błąd przez fałszywy dokument, i odwołała wszystko, co napisała.

Inny przykład propagandy, sfinansowanej przez CISPES za pośrednictwem organu „El Salvador Alert”, był nie mniej kłamliwy niż wcześniej omawiany dokument. CISPES utrzymywał m.in., że hierarchia Kościoła katolickiego w Salwadorze wyraźnie popiera partyzantów. W istocie zaś Kościół wystąpił tam równie ostro przeciwko partyzantom, jak i ich prawnym prze-

ciwnikom. CISPES głosi też, że związki zawodowe, reprezentujące 90 procent zorganizowanych w tym ruchu robotników rolnych Salwadoru, przyłączyły się do powstania. W rzeczywistości największe związki zawodowe, reprezentujące zarówno robotników wiejskich, jak i miejskich, wyraziły jawny sprzeciw wobec akcji partyzanckich. Według CISPES powstańcy są rzecznikami demokracji dającej wszystkim równą prawa polityczne. Łatwo jednak udowodnić, że partyzanci związani są z Rosjanami i Kubańczykami, z których pomocy zresztą korzystają, i wyraźnie stwierdzili, że na udział we władzy politycznej w Salwadorze mogą liczyć tylko ich polepniecy.

CISPES protestował przeciwko reformie rolnej, jaką rząd Salwadoru starał się przeprowadzić, korzystając z pomocy organizacji amerykańskich i poparcia swoich własnych związków. Zresztą CISPES namawiał do sprzeciwu wobec jakiegokolwiek pomocy amerykańskiej. Odmalowując marksistowskich powstańców jako rodzimych demokratów (podobnie jak kiedyś przedstawiono Viet Cong i Czerwonych Khmerów), CISPES nieustannie sugeruje, że amerykańska pomoc dla Salwadoru wywołała „następnym Wietnam”. I ponuro ostrzega: „Zawsze istnieje możliwość, że sfrustrowani przywódcy USA odwołają się do broni nuklearnej, aby wykazać swą zdecydowaną wolę «nietracenia» Ameryki Środkowej”.

W marcu 1982 roku, tuż przed wyborami w Salwadorze, CISPES zorganizował demonstrację w Waszyngtonie, która zgromadziła około 23 tysiące osób. Demonstranci wykrzykiwali: „Precz z powołaniami do wojny, precz z wojną! USA precz z Salwadoru!” (W owym czasie w Salwadorze było 54 wojskowych doradców USA.) Niemal równocześnie mniejsze demonstracje przeciwko polityce USA w Salwadorze odbyły się w Europie.

Z doniesień wszystkich bezstronnych obserwatorów w Salwadorze wynika, że wybory powszechne w tym kraju, przeprowadzone 28 marca 1982 roku, miały przebieg uczciwy. Partyzanci próbowali je udaremnić. Zaatakowali liczne lokale wyborcze i trzykrotnie napadali na siedzibę głównej komisji wyborczej w San Salvador. Kradli wyborcom dokumenty i grozili im — podobnie jak i kandydatom — śmiercią. Jednak mimo świszczących wokół kul, wielu głosujących stało w kolejkach po 8-9 godzin i w rezultacie osiemdziesięciu procentom uprawnionych udało się wziąć udział w wyborach.

Wyniki zadziwiły nawet Departament Stanu USA. Ponad 95% głosujących nie uznało partyzantów, oddając głosy na kandydatów zdecydowanie oświadczających się przeciwko nim.

Mimo to CISPES nadal wykrzykuje o „następnym Wietnamie”, o amerykańskim imperializmie dławiącym rewolucyjną wolę uciemiężonego ludu Salwadoru. W Europie nadal rośnie obawa przed „następnym Wietnamem” w Ameryce Łacińskiej. A w ONZ w Nowym Jorku — KGB, „żołnierze niewidzialnego frontu”, nieustannie walczą o placaki w znacznej mierze przez społeczeństwo amerykańskie, które przecież zamierza zniszczyć.

KONIEC

## Salman Rushdie — nawrócony?

Jeszcze przed rokiem i dokładnie w rok po ogłoszeniu nań wyroku śmierci przez ajatollaha Chomeiniego za „Szatańskie wersety”, Salman Rushdie deklarował, że nie jest wyznawcą islamu. Natomiast w wigilię Świąt Bożego Narodzenia w 1990, na spotkaniu z muzułmanami w Anglii Rushdie publicznie oświadczył, że „nie ma innego Boga poza Allahem, a Mahomet jest jego ostatnim prorokiem.” Zobowiązał się, że nie zezwoli na dalszą publikację „Szatańskich wersetów” w masowym nakładzie, ani na żadne dalsze tłumaczenia tej książki. Wśród osób ze świata literackiego i religijnego trwa dyskusja, czy to jest konwersja autentyczna, czy wymuszona strachem przed pogrozkami i koniecznością ciągłego ukrywania się. Przyjaciół pisarza, wybitny arabista, Edward Said twierdzi, że to rzeczywiście „powrót syna marnotrawnego” na łono swej rodzimej społeczności, którą stanowią hinduscy muzułmanie. Inny autor, a jednocześnie do niedawna obrońca prawny Rushdiego, nazwiskiem Bennon, rozczarowany zwrotem w postawie pisarza stwierdził,

że Rushdiego „nie warto bronić. Wprowadził on zamieszanie wśród swoich zwolenników przez to, że wrócił do fanatycznej wiary, która swych wyznawców upoważnia do zamordowania powieściopisarza za to, co napisał.” Podobnego zdania są inni dotychczasowi sympatycy pisarza. On sam zaś twierdzi, że jego nawrócenie jest najzupełniej autentyczne: „Przez całe życie zmagalem się z problemem, czy istnieje wymiar duchowy dla człowieka, który odrzuca religię. W końcu przekonałem się, że poszukiwanie i odnajdywanie życia duchowego bez wymiennienia imienia Boga było głupotą. Dla mnie religia zawsze był islam. W tym kierunku postawiłem ostatnio mały krok. To koniec trwającego piętnaście lat procesu. Nie zmieniałem się w ciągu jednej nocy w ortodoksyjnego zelotę. Mojego kroku nie należy tłumaczyć jako porażki wolnego słowa. Jest to zakończenie bardzo bolesnego okresu w życiu moim i innych ludzi.”

Okazywać się publicznie. Wystąpił w telewizji wypowiadając się w pojednawczym tonie, z

pozątkiem grudnia ub. r. w kilku księgarniach londyńskich podpisywał swą nową książkę „Haroun i inne opowiadania”.

A jakie stanowisko zajmują jego współwyznawcy? Bardziej umiarkowani wierzą w jego szczerą skruchę. Inni jednak, fundamentaliści, jak Kalim Siddiqui, dyrektor londyńskiego Instytutu Muzułmańskiego, uważają, że „dopóki Rushdie nie wycofa wszystkich egzemplarzy „Szatańskich wersetów” ze sprzedaży i nie wynagrodzi strat poniesionych przez rodziny osób, które poniosły śmierć protestując przeciw popieści, odawiam się, że pan Rushdie nie ma szans na swobodne poruszanie się po ulicach Londynu”. Zaś ajatollah Ali Khamenei pośpiesznie ponowił fatwę, czyli wyrok śmierci na Rushdiego. Sam Rushdie jednak skłonny jest przebaczyć i prosić o przebaczenie, optymistycznie stwierdzając, że „zaczął się wreszcie (dla niego) proces pokoju, który następuje po długim okresie wrogości”.

## Listy od Czytelników

Szanowna Redakcjo!

Pragnę wyrazić radość z jaką przyjąłem ukazanie się nowego pisma kulturalnego w postaci „Dekady Literackiej”. Bałem się, że czas, który naszedł nie będzie sprzyjał egzystencji istniejących już pism, a szczególnie powstawaniu nowych. I tak też się dzieje. Wiele tytułów znika, rozpadają się redakcje. I dlatego bardzo cieszy fakt pojawienia się „Dekady Literackiej”.

Jestem Waszym stałym czytelnikiem i zapewniam, że lektura Waszego pisma jest bardzo interesująca. Szkoda tylko, iż jest tak uboga objętościowo i pojawia się zaledwie jako dodatek do „GK”. Wierzę jednak, że przyszłość pozwoli przezwyciężyć te „mankamenty”.

Cieszę w piśmie interesujące artykuły, poezja, recenzje, wypowiedzi ludzi kultury, nowe odkrycia. Szczególnie ciepło przyjąłem rubrykę: „Hydys Park czytelników”. To bardzo miłe, że dajecie szansę każdemu coś powiedzieć. Zał tylko, iż ta rubryka jest tak bardzo wąska. Mam nadzieję, że z biegiem czasu ulegnie rozszerzeniu.

Mariusz Zygmunt  
z Nowego Sącza



# Witold Turdza odkrywa kolejne arcydzieła Nieznane wiersze Mikołaja Reja

Kilka miesięcy temu w Nagłowicach miał miejsce niebywały skandal. Na skraju wsi znajduje się niewielkie wzniesienie porośnięte rzadką drzewami, zwane przez miejscową ludność Rejową Górką. Jej właściciel, kopiąc tam rów pod fundamenty domu, natrafił na zbutwiałą drewnianą skrzynkę. Wydobyl ją gorączkowo mając nadzieję, że natrafił na ukryty w ziemi skarb. Niestety okazało się, że Nagłowice nie są Srodą Śląską — w skrzynce były tylko jakieś rozsypujące się pokreślone papiery, gęsie pióro i nie ponadto. Rozczarowany chłop wyrzucił więc skrzynkę, nie domyślając się, iż zawiera ona skarb najprawdziwszy: nieznane wiersze Mikołaja Reja. Ta karygodna lekkomyślność przyniosła niepowetowaną stratę, bowiem pasąc się na Rejowej Górce koza, która „rada wszystko jada”, istotnie pożarła prawie wszystkie rozrzucone karty. Zostały tylko trzy wiersze!

Ich forma jest identyczna z „Figlikami”, jednakże w obu XVI-wiecznych wydaniach „Zwierzycy” (którego częścią były „Figliki”), nie znajdujemy ich. Być może Rej przygotowywał kolejne, poszerzone wydanie — tego już się nigdy nie dowiemy. W kozim pysku zniknęły na zawsze prawdziwe perły poezji. Trzy, cudem ocalałe, świadczą jak wielką stratę poniosła polska literatura.

## Co pociechy się pytał

Jeden chłop do drugiego przybieżal z plakaniem,  
Pociechy się nadziewał, iż ją dostanie,  
Ano w sadu gospodze mu się obiesiła.  
Przeło nie barze nazbyt prawie postąpiła.  
Widy twirdził być jł teszno. A zasie ten temu,  
Co jł miał cieszyć chłopa, to tak rzeknie jemu:  
Głupi chłopie, toć nie płacz, jedno ona gaiał  
Bych ją wszczepił w mym sadu, dajże nie mieszkaję.

## Naszkodliwsze zwirzę pochlebca

Pastyrz pas chciał obiesić, że jagnięta jadał.  
Przez mię tak srodze karzesz? — słoćwiwy pies białeł —  
Annieł wilk nie więcej krayw a toć mu okpisał  
Nie tak mi krayw jakę ty, powiedział mu pastyrz.  
Mama go nieprzyjacielem, toć się go waruje  
A w oczy mi jakę ty, wilk nie pochlebuję.  
Zasie ciebie karmilem, zwierzylem z wszystkiego,  
Widyę mię zwiodleś przechyre i zginesz dla tego.

## Jako białogłowy czynię

Wszystki się białogłowy starają niemale  
Nadstawić w swej cudności, czego im nie stała.  
Snadźby snadniej alchemią zwaś to farbowanie  
Albo pewnie ludarstwem liwym dobrej panieł.  
Kiedy już toć nakładzie na twarz giancu tego  
Świeci by rzyć w szelinie do młesłęca młtego.  
Aczci nawetęza pani i nie barze stara  
Ićie za dyabla stoi, czyście by maskara.

## Camera obscura

Ukazała się nakładem „Pulsu” książka Janusza Szpotarńskiego zawierająca jego dłuższe i krótsze wierszowane teksty satyryczne, opracowane przez Antoniego Libere i Zygmunta Salonięgo. Tytuł: „Zebrańne utwory poetyckie”. Aż poetyckie? (hm)

Jan Prokop pisze w „Dekadzie Literackiej” (nr 10), że ostatnie „prawdziwe” wybory do Sejmu odbyły się w r. 1937. Będęmy ściślejsi: 6 listopada 1938. A i ta „prawdziwość” była względna, skoro nie wzięli w nich udziału ani socjaliści, ani ludowcy ani endecy. (hm)

Leszek Elektorowicz w tejże „Dekadzie” zalicza do zajadłych polityków kulturalnych pierwszych lat powojennych m. in. Karola Kuryluka i Wan-

dę Melcer. Kuryluk już w roku 1948 usunięty ze stanowiska redaktora „Odrodzenia”, na taką opinię chyba nie zasłużył, a Wanda Melcer, która w powojennym życiu literackim odgrywała rolę minimalną (Marta Fik ani razu nie wymienia jej nazwiska w „Kulturze polskiej po Jalcie!”) — nie wiadomo dla czego w tym spisie w ogóle się znalazła. (hm)

Sędziwa pani Lidia Ciołkowska ma prawo się mylić, ale Ewa Berberysz nie powinna za nią bezkrytycznie powtarzać („Gazeta Wyborcza” nr 28), że „Stanisław Kot był świetnym historykiem sztuki”, bo ten znakomity historyk wychowania i ruchów religijnych akurat sztuką w ogóle się nie zajmował. Mylnie jest także umieszczenie „wyborów brzeskich”

w r. 1928; w rzeczywistości chodzi o wybory z jesieni 1930. (hm)

Prasa doniosła, że założona została spółka (działająca w imieniu SdRP) pod nazwą „Ab novum”. Założyciele powinni sobie sprawić gramatykę łacińską; dowiedzieliby się, że w dwóch słowach zrobili dwa kardynalne błędy. Poprawna nazwa może brzmieć tylko „A novo”. (hm)

W „Życiu Literackim” stanę wojennego swoje ataki na opozycję drukował nie JACEK Majchrowski (nb. krakowski profesor), ale KRZYSZTOF Majchrowski. Za błąd w imieniu przepaszamy tylko jednego Pana, prof. Jacka M. Zaś pułkownik, a dziś już generał Krzysztof M. został właśnie oskarżony, wraz z innymi dwoma generałami o samowolne palenie tajnych akt MSW. (ter)

## NOTES

W 73 rocznicę odzyskania niepodległości przez państwo litewskie, w Klejdanach, mieście znajdującym się na Litwie środkowej, uhonorowano najwybitniejszych ludzi tego kraju. Miano honorowego mieszkańca miasta nadano pocie polskiemu, laureatowi Nagrody Nobla, Czesławowi Miłoszowi oraz ostatniemu ministrowi spraw zagranicznych republiki litewskiej, 95-letniemu Juoza-

sowi Urbszysowi. Obaj ci wielcy mężowie urodzili się we wsi Szateinai.

W szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich odbyły się dni poświęcone pamięci Wiesława Dymnego. Zaprezentowano spektakle i programy kabaretowe oparte na jego tekstach, a także wystawę prac plastycznych tego artysty. Z programem kabaretowym przyjechał do Szczecina zespół krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”.

W operze wrocławskiej odbyła się premiera „Krakowiaków i górali” Wojciecha Bogusławskiego w inscenizacji i reżyserii Krzysztofa Kolbergera. Dla tego przedstawienia Ernest Bryll i Wojciech Młynarski napisali kilka nowych tekstów. W roli Doroty wystąpiła na premierze Maryla Rodowicz, a w roli organisty Miechodmucha — Danuta Rinn. Na oba spektakle premierowe — w sobotę i niedzielę — bilety zostały rozchwypane.

**DEKADA LITERACKA** — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska” Adres: 31-072 Kraków, ul Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

Andrzej Zaręba przedstawia:



Tomasz Venclova

## HYDE PARK czytelników

Dzisiaj nasz Hyde Park gości pana MARIUSZA ZYGMUNTA z Nowego Sącza.

## DOMEK

Zbudowałem domek z minut smutku. Mały domek z nieskończoną ilością pięter.

Nie ma ciszy w tym domu. Cisza to zapomniany starzec gdzieś w kącie na strychu.

Widziałem szwadron trupów przechodzących przez mój pokój. Patrzyły na mnie i zniknęły w drzwiach zostawiając mi swój oddech. Ja też znikam w drzwiach.

## Michała Rożka przewodnik po mistycznym Krakowie CZART NA RYNKU

Krzysztofory — Rynek Główny 35

Powiadają, że diabeł pojawia się w różnych miejscach w Krakowie. Mówią o Błoniach, diabelskim moście przy drodze na wzgórze św. Bronisławy, o kruchcie kościoła Mariackiego, gdzie diabeł stara się utrudnić wiernym wejście do świątyni. Na szczególną jednak uwagę zasługuje diabeł spod Krzysztoforów. Ten obszerny dom zamyka naroże Rynku i ulicy Szczepańskiej. Pod nim ciągną się obszerne piwnice i lochy, dochodzące nawet pod Rynek — pod kościół Mariacki. To w piwnicach Krzysztoforów Włoch de Stessi miał w XVI stuleciu pracownię alchemiczną. To w tych lochach zjawia się diabeł. Ponoć przybiera kształt koguta, zwabiając zwłaszcza dziewczyny. Jedna ze służących ruszyła kiedyś za kogutem, który powiódł nieszczęsną do głębokich podziemi. Tutaj zmienił postać w dziwnego człowieczka, odzianego z niemiecka. Pokazał dziewczynie beczki pełne dukatów. Zachęcona nabrała, co mogła, w fartuch. Diabeł ją przestrzegł, że jak odchodząc obróci się za siebie, to skarb utraci. Zaczęła uciekać ze zdobyczą, jednak przy wyjściu z piwnic, już na ostatnim stopniu, obejrzała się, czy przypadkiem diabeł nie idzie za nią. Wówczas wrota drewniane, zamykające lochy, zatrzasnęły się z hukiem, obcinając pięć nieszczęsnej. Ale skarby zostały w fartuchu, przynosząc jej szczęście. Krzysztoforski szatan nadał kuś, a niezliczone skarby czekają na odważnych. Opowiadają, że dziewczka za uratowanie z czarnej opresji ufundowała kaplicę w farze Mariackiej, pierwszą z lewej u drzwi wielkich do świątyni.